



TREŚĆ:

	Str
Na pograniczu wiedzy ścisłej a spirytyzmu — W. Mirski	194
Człowiek i wszechświat (c. d.)	198
Joanna d'Arc — M. M.	202
Klisze astralne i symboliczne obrazy najbliższej przyszłości — Agni P.	207
Jasnosłyszenie u muzyków	211
Wzajemne słuźenie — Henry Ford	213
Listy z zaświata — T. W. Stead	214
Jean Meyer	217
Zioła lecznicze	218
Kronika	220

Adres redakcji i administracji: „**HEJNAL**“, Wisła, Śląsk Cieszyński (Poland).

Prenumerata na rok 1931: rocznie 12 zł, półrocznie 6.50 zł, kwartalnie 3.50 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 Kcz; do Ameryki rocznie 2 dolary. Numer pojedynczy poza prenumeratą 1.30 zł. — **Zaległości** oblicza się po 1.30 zł za zeszyt.

Jeźeli z końcem roku wyraźnie nie odmówiono prenumeraty, przedłuża się ją automatycznie na rok następný.

★ Konto w P. K. O. 305.993. ★

Nadesłane pisma, książki i broszury.

Das „GEIST-CHRISTENTUM“, Monatsschrift zur Vollendung der Reformation durch Wiederherstellung der reinen Heilandslehre. Dr. Artur Dinter, Nürnberg.

„ASGARD“, Wege zum Licht — Dr. Georg Lomer. (Hannover.)

„POSEL ZÁHROBNÍ“, spiritistický časopis vñnovaný zahadám duřevním. (Czechosłowacja).

„ŽIVOT“, mēšicník pro duchovní studia (Mor. Ostrava).

„IITNO ZERNO“, miesięcznik spirytualistyczny — redakcja i administracja — Sofia, rue Vitochka, 3 (Bulgarie).

„DAS HOHE IDEAL“ — Peter Dönov, Sofia.

„LA HOULE“, Organe Officiel de l'Ordre Compagnons de la Pensee (Lyon).

„J. KRISHNAMURTI“ — Przemówienia. Rok I — Zeszyt II i III.

„ROZENKREUTZER-ZEITSCHRIFT“ — G. Gorges, Gruna b. Görlitz.

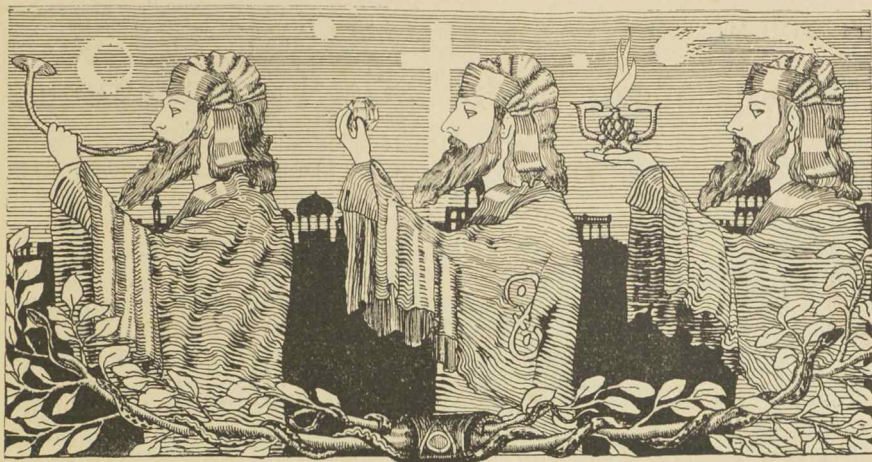
„MYSTIKER IM GEBETE“ übersetzt und gesammelt von Many Cihlar (Baum Verlag — Pfullingen).

„DAS WORT“, Zeitschrift der Freunde des Neu-Salems Lichtes (Bietigheim, Württemberg).

„PIELGRZYM POLSKI“ — organ postępowego ruchu ewangelicznego w Polsce. (Warszawa, Mokotowska 12).

„ROSENKREUTZER MYSTERIEN“ — Max Heindel (Theosophisches Verlagshaus, Leipzig).





*Wszystko nam daleś, co dać mogłeś, Panie:
Żywoć najczystszy — a więc godzien krzyża,
I krzyż — lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża,
Najwyższe daleś w czasie powołanie,
Tchem dzieje świata Tyś przegiał, jak kłosa,
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa —
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa.
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić;
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić,
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród kaźden, że twój zamysł czeka,
Zawieszon w górze, aż własnym obioćem
Człowiek lub naród jego pójdzie toćem;
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!*

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

WIKTOR MIRSKI.

Na pograniczu wiedzy ścisłej a spirytyzmu.

W ostatnich kilkudziesięciu latach wiedza przyrodnicza zabrała się do gruntownego i systematycznego badania zjawisk medjumicznych. Po początkowym wykpiwaniu i wyśmiewaniu przez wiedzę ścisłą zjawisk, opisywanych przez spirytystów, nastąpił okres żywego zainteresowania się nimi i eksperymentalnego ich badania przez lekarzy, psychologów, biologów, fizyków i chemików. Ileż prześladowań i drwin musieli znieść pierwsi uczeni, zakładający podwaliny tej nowej nauki, jak np. taki William Crookes, słynny ang. fizyk i chemik, członek londyńskiej Royal Society, lub Fryderyk Zöllner, niem. fizyk i astronom, a u nas prof. Dr. Julian Ochowicz, tak mało jeszcze dotąd znany u nas, choć wielce ceniony zagranicą! Od tego czasu metapsychika wywalczyła sobie już stałe miejsce w wiedzy przyrodniczej.

Jest charakterystycznym objawem naszych czasów, iż nawet taki materialista, jak prof. Dr. Max Dessoir założył w ostatnich czasach w Berlinie towarzystwo pod swoim osobistym protektoratem, poświęcone badaniom spirytystycznym! Podobne towarzystwa istnieją w Ameryce i Anglii już od dziesiątków lat. Pierwsze z nich założono już w r. 1867 w Londynie pod przewodnictwem Sir John'a Lubbock'a. Największy rozgłos z nich wszystkich zdobyła sobie jednakże słynna „Society for psychical Research“, założona w r. 1882. W r. 1900 liczyła już 1500 członków, a między nimi znajdowali się najslawniejsi angielscy uczeni i „asy“ świata towarzyskiego.

Przeglądając jednakże olbrzymi obecnie już dorobek naukowy metapsychiki, zostajemy srodze rozczarowani w nadziei naszej, że znajdziemy tu stanowcze rozwiązanie licznych zagadnień i problemów, stojących w związku z tą dziedziną. Nie brak wprawdzie najróżnorodniejszych teoryj, tłumaczących to lub owo, lecz bądźto obejmujących tylko małą grupkę zjawisk, a niezgodnych z innymi, bądź to będących tak dziwaczными i sztucznymi, że nie mogą nas w żaden sposób zadowolić. I to przeżywają wszyscy, którzy poważnie i rzetelnie zabierają się do badania tych zjawisk. Coraz częstsze są głosy, nawet wśród przedstawicieli sfer naukowych, że wiedza materialistyczna wobec zjawisk medjumicznych zawiodła. Pewnie, że ma ona niemałe zasługi, badając ścisłymi metodami naukowymi te zjawiska, porządkując je i wskazując na związki wzajemne — ale gdy kusi się o ich wytłumaczenie, o wykazanie ich istoty, okazuje się niedostateczność sposobów, któremi rozporządza materializm.

W r. 1920 ukazała się praca inż. Fritza Grunewalda p. t. „Fizykalno-medjumiczne badania“ („Physikalisch-medjumist. Untersuchungen“, Johannes Baum Verlag, Pfullingen), w której autor przyznaje się otwarciu do fiaska wiedzy materialistycznej w tłumaczeniu zjawisk medjumicznych. W przeciwieństwie

do takich badaczy, jak Schrenk-Notzing lub Staudenmaier, przyznaje, że do odrzucenia stanowiska spirytystycznego badania eksperymentalne nie dają żadnej podstawy koniecznej. Podkreśla on tylko, że przy badaniach fizykalno-fizjologicznych nie powinno ono wchodzić w grę.

Jest to jedyne możliwe wyjście dla wiedzy przyrodniczej i z jej punktu widzenia stanowisko zupełnie usprawiedliwione. Grunewald zaznacza dokładnie, iż zjawiska medjumiczne trzeba rozważać z punktu widzenia fizykalno-fizjologicznego i filozoficzno-religijnego. Przytem zaznacza jeszcze, iż objawy medjumiczne stoją w nierozdzielalnym związku z istnością pewnych indywidualnych „inteligencji“, które twierdzą, iż są duchami ludzi zmarłych. Badacz tych zjawisk musi się koniecznie liczyć z temi indywidualnemi, wyraźnie scharakteryzowanemi istnościami, jeżeli chce dojść do zadawalniających wyników. To samo zresztą stwierdza Schrenck-Notzing.

Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby metapsychikę uznawano za jedną ze specjalnych gałęzi wiedzy przyrodniczej, — gdyby tylko badacze nie popełniali tego błędu, iż w zakresie wiedzy przyrodniczej leży także możność wytłumaczenia tych faktów, zrozumienia ich istoty („idea“ Platona, „rzecz w sobie“ Kanta, „niezbadalne“ Goethego, „wewnętrzna postać“ Chamberlain'a). Tego — jak dowiodła to już i swoim dotychczasowem dorobkiem — materjalistyczna wiedza przyrodnicza nigdy nie dokona.

Wszelkie bowiem przyrodniczo-materjalistyczne poznanie sprowadza się do poznania zmysłowego. Nasze zmysły jednakże — jak to wykazały nowsze badania — są wielce niedoskonałe, a zakres ich wrażeń jest tak ciasny i wykazuje tyle luk, że nie obejmują one absolutnie całości zjawisk, zachodzących w przyrodzie. Wszystkie bowiem przejawy życia streszczają się w wibracjach i drganiach, któremi zapelniony jest cały wszechświat. Dźwięk, światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm, promienie chemiczne, promienie katodyczne, fale hertzowskie i t. d. są tylko różnemi formami objawiania się siły i substancji powszechnej.

Zmysły nasze pozwalają nam dostrzegać tylko pewne grupy owych drgań, nie odbierając zgoła żadnych wrażeń od innych. I tak oko nasze jest wrażliwe tylko na fale świetlne w granicach długości fal od 700 miljonowych części milimetra, odpowiadającej barwie czerwonej w widmie, aż do 400 miljonowej części milimetra, odpowiadającej barwie fioletowej widma. Wszystkie kolory, leżące powyżej lub poniżej tej granicy, nie istnieją dla naszego oka. Że jednakże powyżej i poniżej tej granicy istnieją również jeszcze kolory, wykazuje nam płyta fotograficzna, której warstwa światłoczuła zaczerpnia się i znacznie poza tą granicą.

Również w obrębie samego widma oko nasze wykazuje różne stopnie wrażliwości. Naogół barwy zmieniają się z długością fali. Lecz zmiana długości fali nie postępuje równolegle ze zmianą jakości barwy. W barwie żółtej i zielono-błękitnej zmiana jakościowa następuje szybko drobnymi krokami, razem ze zmianą długości fali.

Okno w obrębie tych barw jest najwrażliwsze na zmiany długości fali, gdyż już przy 1-miljonowej części mm reaguje różnemi wrażeniami barwnemi. W barwie natomiast błękitnej i fioletowej wielkim zmianom długości fali nie odpowiada żadna, lub znikoma zmiana w jakości barwy.

Wrażenia dźwiękowe reagują również tylko na grupę fal, znajdujących się w pewnej ciasnej granicy. Najniższy dźwięk dla ucha normalnego pochodzi od 20 drgań na sek., a najwyższy od 20.000 drgań na sek. Co poza tą granicą leży, jest dla ucha naszego niesłyszalne i nie istnieje.

Podniętą fizyczną dla wrażeń ciepła i zimna są ciała o temperaturze pomiędzy -10° C a 70° C. Poza temi granicami odczuwamy tylko klujący ból.

Słynny fizyk W. Crookes, wspomniany już powyżej, ułożył tablicę klasyfikacyjną, gdzie vibracje dźwiękowe umieszczone są od 5—15 stopnia, odpowiednio do napięcia i dźwięczności. Elektryczność i magnetyzm między 20, a 35 stopniem. Od 45 do 50 spotykamy ciepło i światło. Powyżej 58 stopnia występują fale katodyczne. Ale w tych przerwach istnieją olbrzymie sfery energii niewyzyskane i niedostępne dla naszych zmysłów.

A może luki te są puste? Przypuszczenie takowe byłoby nierozsądne i zupełnie niezgodne z samą nauką, gdyż nigdzie w przyrodzie niema próżni, skoku nagłego lub przerwy. Wynika z tego jedynie niedostateczność naszych zmysłów, jeśli chodzi o badanie otaczającego nas wszechświata. A więc znajomości nasza przyrody zwęża lub rozszerza się zależnie od ilości i delikatności naszych zmysłów i większość form życia jest dla nich niedostępna.

Ale jeśli przybył nam nowy zmysł, poznanie nasze się rozszerzy, objawi się nam cały szereg zjawisk, dawniej zupełnie nieznanymi.

Znany spirytysta francuski, Leon Denis, rozważając podobne zagadnienia, udowadnia, iż moglibyśmy nawet posiadać zmysły o odmiennej budowie anatomicznej, któreby zupełnie zmieniły nasz zmysłowy obraz wszechświata. Moglibyśmy np. słyszeć barwy a smakować dźwięki, gdyby np. na miejscu siatkówki pęk nerwów łączył oko z uchem. Zamiast więc podziwiać niebo usiane gwiazdami, chwytalibyśmy harmonię sfer, a nasze wiadomości astronomiczne mogłyby być o równej dokładności. Gdyby zmysły nasze były między sobą połączone, posiadalibyśmy jeden zmysł ogólny, który dostrzegalby jednocześnie wszystkie rodzaje zjawisk.

I oto dotarliśmy do kresu możności poznania naszej wiedzy przyrodniczej. Kończy się ona tam, gdzie się nasze zmysły kończą, a jak widzieliśmy, sfera ich działania i należytego funkcjonowania nie jest zbyt rozległa. Odtąd zaczyna się spirytyzm i okultyzm, który nie zatrzymał się przed temi granicami i śmiało poszedł dalej.

Niema żadnej konieczności, a nawet, jak powiedzieliśmy powyżej, byłoby wręcz zupełnie niezgodne z dzisiejszym stanem wiedzy, przyjąć poza sferą tego, co zmysłowo dostrzegamy, pustkę — nicość.

Ta druga rzeczywistość, niedostępna zmysłom naszym, może być tak samo zaludniona, pełna najróżnorodniejszych objawów, dostępnych chwilowo jeszcze tylko wyjątkowym jednostkom, które mają odpowiedni zmysł. A nawet istoty o zupełnie odrębnej konstytucji mogłyby żyć w jednym i temsamem środowisku, nic o sobie nie wiedząc i nie znając się wzajemnie. A gdyby na skutek organicznego rozwoju niektórych z pośród tych istot, ich środki spostrzegania pozwoliły im wejść w stosunek z istotami odrębnej organizacji, nie byłoby w tem nic cudownego, ale wchodziłoby to poprostu w zakres zjawisk naturalnych, podlegających prawom nieznanym przez istoty na niższym rozwoju organicznym.

Wykazaliśmy tu jedną z granic obecnej wiedzy przyrodniczej. Lecz nawet gdybyśmy przyjęli, iż zjawiska nasze są w całości swej dostępne zmysłom, musiłobyśmy się i tak jeszcze zastanowić, czy na podstawie samych tylko wrażeń zmysłowych potrafiłaby ona nam dać wytłumaczenie i s t o t y zjawisk.

Co bowiem robi wiedza? Zbiera ona fakta, wykrywa zależność jednej rzeczy od drugiej, porządkuje je, zestawia je w grupy, redukuje bardziej skomplikowane zjawiska na prostsze i stara się całość obserwowanych zjawisk sprowadzić do możliwie najprostszej formy. Lecz nic nam nie może powiedzieć, dlaczego tak jest, dlaczego np. 2 atomy wodoru z 1 atomem tlenu łączą się na 1 molekuł wody.

Jeszcze wyraźniej występuje niemożność wytłumaczenia przez samą, tylko wiedzę przyrodniczą zaobserwowanych faktów w dziedzinie biologicznej, gdyż zasada, na podstawie której porządkujemy wrażenia naszych zmysłów i kształtujemy w pojęcia, nie wynika z przedmiotu naszego poznania, lecz z rozumu — jak to dowodzi Kant w swej nauce o kategoriach. Jeśli biolog bowiem organizmy żywe porządkuje w gatunki, rodzaje i rodziny, lub nawet w szeregi rozwojowe, zasadę takiego porządkowania nie czerpie z samej natury, lecz z własnego swego rozumu. Bez naszej własnej pracy myślowej nie zdobędziemy bowiem poznania otaczającego nas świata na podstawie wrażeń zmysłowych (Kant „Krytyka czystego rozumu“).

Również jaskrawo występuje ta niewystarczalność samych tylko wrażeń zmysłowych w psychologii. Nawet gdyby psycholog potrafił zaobserwować najsztudniej s z e mikroscopijne i mikrochemiczne zmiany w naszym mózgu i nerwach, odpowiadające psychicznym procesom czucia i myśli, byłoby przecież dla niego zupełnie niemożliwym odnaleźć związek między zaobserwowanymi zmianami fizyczno-chemicznymi a duchowymi. Najwyżej stwierdzi, jakie zmiany materialne odpowiadają danym zmianom psychicznym, lecz nie znajdzie choćby cienia jakiegokolwiek pomostu między zmianą materialną a psychiczną.

Jeszcze znacznie więcej skomplikowane są objawy medjumistyczne. Już nawet najprostszy, ściśle przeprowadzony eksperyment medjumistyczny wykazuje, iż wchodzi tu w grę najsztudniej s z e objawy fizykalne, biologiczne, fizjologiczne i psychologiczne, które są

wręcz niewytłumaczalne na podstawie samej tylko wiedzy przyrodniczej, opierającej się tylko na wrażeniach zmysłowych. Trzeba tu pewnego ogólnego światopoglądu, jako podłoża do wytłumaczenia danych objawów. Światopogląd materialistyczny wykazał swą niewystarczalność. Wiedza przyrodnicza musi zwrócić się do światopoglądu spirytualistycznego, który jej dopiero pozwoli na logiczne i znacznie prostsze, niż obecnie, wytłumaczenie zjawisk medycznych.

M. A. i W. B.

(Szkice).

Człowiek i wszechświat.

(Inspiracje.)

Oddziaływanie wpływów kosmicznych na człowieka.

Ciąg dalszy.

Słońce i Księżyc w naszym systemie planetarnym oddziaływaniem swym wywierają niepomierny wpływ przeważnie na kształtowanie się i rozwój komórek ciała astralnego, **na zmysły** jednakże tegoż ciała wielki wpływ mają inne planety naszego systemu słonecznego.

I choć promieniowanie z tychże planet wibracji magnetycznych w mocy swej jest niepomiernie słabsze, aniżeli ze słońca lub księżyca, to jednakże wnikliwość ich jest ogromna. Zmysły ciała astralnego, któremi ono się posługuje, są doskonalsze i o wiele czulsze, aniżeli zmysły ciała fizycznego. Ilość ich jest o wiele większa, a niektóre już są znane szerszemu ogółowi ludzi. Do nich zaliczyć należy w pierwszym rzędzie: intuicję, pamięć kolorów, jasnosłyszenie i jasnowidzenie. Inne, jako bardziej ukryte i mające swe pole działania na płaszczyźnie astralnej, byłyby na razie bez szerszego opisu mało zrozumiałe. Szczegółowe ich omówienie uskutecznione będzie przez nas wówczas, gdy wyczerpiemy całkowicie nasz temat niniejszej pracy, który zdąży do ujęcia możliwie przystępnie i jasno higieny odżywiania się przy równoczesnem przyswajaniu sobie wibracji magnetycznych i głębszego ich zrozumienia.

Przejdźmy więc z kolei do magnetycznego oddziaływania poszczególnych planet na ciało astralne i jego zmysły.

Z reguły planety posiadają również jak słońce lub księżyc w stosunku do ziemi naszej stały i niezmienny potencjał magnetyczny, wahania którego co do napięcia są tak minimalne, że przyjąć można je za nieistniejące.

Na skutek rozdziału, jaki miał miejsce dawno w naszym układzie solarnym, wyodrębniły się poszczególne planety i każda z nich otrzymała swój indywidualny magnetyzm. Zmiany w magnetyzmie

tłumaczyć sobie należy nie tylko różną gęstością i ilością masy u poszczególnych planet, ale i, co jest bardzo ważne, wzajemnym położeniem i ustosunkowaniem się do ziemi naszej. Idąc dalej w swych rozumowaniach baczna uwagę zwracać będziemy także i na współudział wibracji słońca i księżyca z poszczególnymi planetami. Najpierw jednakże omówimy je każdą z osobna, analizując ważniejsze jej właściwości, jakie posiada dana planeta, oddziaływując na ziemię naszą i plan astralny.

Aby jednakże łatwiej było się nam orjentować w tym labiryncie wpływów planetarnych, rozsegregujmy je według właściwości na grupy i klasy.

Słońce, jak każda inna planeta naszego układu solarnego, obraca się dookoła swej osi niezależnie od ruchu po ekliptyce niebieskiej wraz z całym swym układem. Na skutek tegoż obrotu dookoła swej osi posiada, tak jak i nasz glob, bieguny magnetyczne. Bieguny te, promieniując wokół na swe planety ożywczym i życiodajnym magnetyzmem słońca, zależnie od odległości, szybkości międzyplanetarnych poszczególnych planet i wzajemnego się ich ustosunkowania, nie na wszystkie planety jednakowo wysyłają owe promienie.

I tak w działaniu promieni magnetycznych dodatniego bieguna słonecznego znajdują się następujące planety: Ziemia, Mars, Wenus, Merkury i Neptun.

W polu zaś działania bieguna ujemnego słońca i z niego promieniujących sił magnetycznych są pozostałe planety: Uran, Księżyc, Saturn, Jowisz.

Pierwszą grupę planet, będących w działaniu dodatnich promieni magnetycznych słońca, należy rozdzielić jeszcze na dwie klasy ze względu na ich różne właściwości. Do pierwszej klasy pierwszej grupy zaliczymy więc następujące: **Ziemię** wraz z jej **dwoma**, co do objętości pięć razy mniejszemi od księżyca, **satelitami**, oraz **Mars** i **Wenus**.

Do drugiej klasy tej samej grupy zaliczymy pozostałe dwie następne planety, czyli: **Merkurego** i **Neptuna**.

Podobny podział przeprowadzimy w drugiej grupie, dzieląc ją znowu na dwie klasy.

Do pierwszej klasy zaliczymy **Urana** i **Księżyc**, do drugiej klasy natomiast pozostałe dwie planety: **Saturna** i **Jowisza**.

Zdefiniujmy więc teraz, jakie cechy i właściwości znamionują tak zwaną pierwszą grupę planet i drugą.

Pierwszą grupę cechować będzie magnetyzm słoneczno-ciepny i oznaczać go będziemy znakiem plus (+).

Drugą grupę natomiast cechować będzie magnetyzm słoneczno-zimny, który oznaczać będziemy znakiem minus (—).

Magnetyzm słoneczno-ciepny, promieniujący z dodatniego bieguna słońca, jest to ten magnetyzm, ta energia, która promieniując wokół, sieje ciepło, przy minimalnej ilości światła jako takiego; dopiero na skutek magnetyzmu ziemi, który przenika ów magnetyzm słoneczny, wywołuje on owe światło, które nam niby ze słońca przyświeca.

Jak właściwie świecą promienie słońca, moglibyśmy się wówczas przekonać, gdybyśmy znaleźli się z ziemią naszą w polu działania ujemnego bieguna słonecznego.

Przejdźmy z kolei do badań nad wibracjami magnetycznymi, promieniującymi z ujemnego bieguna słonecznego.

Promienie magnetyczne dodatniego bieguna magnetycznego słońca częściowo tylko wypromieniowują w przestrzeń międzyplanetarną, lwia część ich natomiast zdąża ku ujemnemu biegunowi, normalnie zamykając obwód magnetyczny słońca.

Część jednakże tych promieni promieniuje w przestrzeń, a właściwości ich jako promieni magnetycznych słońca o znaku ujemnym są niezmiernie ciekawe, są to bowiem wibracje wybitnie świetlne, które przy minimum ciepła dają maksimum światła. Część tych promieni przedostaje się i na naszą ziemię, ale znikoma ta ilość przy zetknięciu się z magnetyzmem ziemi zamienia się szybko na energię cieplną, która to działa na ziemi pod nazwą promieni pozafołkowych.

Magnetyzm pierwszej grupy posiada cechy i właściwości promieni pozaczerwonych, które już dawno są znane, a obecność ich jest uznana za pewnik przez uczonych fizyków i chemików.

Zbadajmy teraz cechy i właściwości poszczególnych klas w pierwszej i drugiej grupie.

Magnetyzm pierwszej klasy pierwszej grupy będą to wibracje o wybitnym działaniu na materję i astral niższy wraz z ich zmysłami.

Magnetyzm natomiast drugiej klasy tej samej grupy, posiadać będzie niepospolite wprost właściwości, jest on bowiem niezwykle wnikliwy i dzięki jego właściwościom dzieją się wszelkie materjalizacje, dematerjalizacje, lewitacje przy równoczesnej zmianie ciężaru gatunkowego danego medjum i rozbijanie pierwiastków na poszczególne atomy, które potem w następstwie tego działać będą na materję — in statu nascendi, wywierając w dalszym ciągu ów wpływ destrukcyjny dla ciała fizycznego.

Przejdźmy do badań nad właściwościami promieni magnetycznych klasy pierwszej i drugiej drugiej grupy.

Klasa pierwsza teje grupy posiada magnetyzm niezwykle pomocny przy znoszeniu oddziaływań magnetycznych jednego ciała na drugie, co ma wielkie znaczenie przy materjalizacjach i lewitacjach, uzupełniając niejako cechy i właściwości drugiej klasy z pierwszej grupy.

Klasa druga posiada magnetyzm, zezwalający i pomocny przy przetwarzaniu jednych wibracyj magnetycznych w drugie (np. ciepła na światło, ciepła na energję elektryczną, względnie energii magnetycznej na elektryczność lub odwrotnie), co niekiedy zmienia i znak magnetyzmu z plus na minus w stosunku do naszej ziemi.

Właściwości tychże promieni zezwalają poniekąd na przenoszenie się ciała astralnego wraz z duchem drogą całkowitej dematerjalizacji, i są pomocne przy materjalizacji tegoż ciała na innych planetach, w innych warunkach magnetycznych, dając nam możność zarazem chwilowej egzystencji i bytu na obcych planetach.

Obecnie przystępny do oceny i analizy właściwości promieni magnetycznych poszczególnych planet.

Ziemię i jej oba, jeszcze przez astrologów nie odkryte, nawpół galaretowate satelity, pominiemy na razie milczeniem, gdyż poświęcimy im więcej miejsca w osobnym artykule.

Zwróćmy więc uwagę na następną z kolei planetę — **Marsa**.

Mars.

Jak każda planeta z układu solarnego tak i Mars prócz swego magnetyzmu posiada magnetyzm słońca, który to na skutek zesumowania się z magnetyzmem Marsa i transformacji, promieniuje na naszą ziemię. Właściwości tego magnetyzmu są niepospolite, od nich bowiem w wielkiej mierze zależy wszelki ruch w astralu i w materji. Żadna synteza lub wymiana nie byłaby do pomyślenia w chemji bez współdziałania tychże wibracyj.

Wszelkie przegrupowania atomów w strukturze jakiegokolwiek ciała na skutek powinowactwa chemicznego, dzieją się tu na ziemi naszej, przy współdziałaniu wibracyj magnetycznych z Marsa.

Bez tychże wibracyj nie mielibyśmy maszyn elektrycznych, gdyż istota magnezu ma swoją przyczynę w tych właściwościach promieni Marsa.

Wybitnymi metalami, które podlegają tej planecie, są: **żelazo** i **nikiel**.

Tem się też tłumaczy u tych metali zdolność stworzenia i utrzymania potencjału magnetycznego czyli pola sił magnetycznych. Mimo tak gęstej struktury w owych ciałach „zwrotność“ poszczególnych atomów i wolnych elektronów jest olbrzymia i tu leży właśnie przyczyna tego, że ciała owe można namagnesować.

Jednakże na skutek promieni magnetycznych księżyca, sztabki takie, sporządzone z tychże metali, rozbroją się magnetycznie, podobna bowiem w tejże masie ruchliwość wolnych elektronów wyzwała się tam, gdzie był jej nadmiar, czyli że z chwilą zubożenia dodatniego bieguna magnetycznego właściwości magnetyczne w danym ciele zanikają.

O ile na wpływ promieni magnetycznych księżyca wystawimy tylko biegun ujemny magnezu, to zwiększymy tylko różnicę potencjałów, czyli moc magnezu powiększy się.

Wystawiając natomiast biegun dodatni na działanie magnetycznych promieni księżyca, po pewnym czasie sprowadzimy różnicę napięć potencjałów magnetycznych magnezu prawie do zera, czyli niemal wszelkie objawy natury magnezu w danej sztabce zanikną.

Analogiczny wypadek zachodzi z wielkim magnesem ziemi naszej, gdzie to różnica potencjałów obu biegunów nie zanika pod wpływem magnetycznych promieni księżyca tylko dlatego, że swoisty nabój magnetyczny ziemi ustawicznie jest zasilany przez obrót wokół swej osi.

Wahania magnetyczne jednakże co do swej mocy i napięcia ustawicznie się odbywają; zależne to będzie od szerokości i długości

geograficznej, od pory roku, miesiąca, dnia a nawet godziny i minuty. Wszelkie katarstropy, gdzie wchodzi w grę ten czy ów metal, wszelkie wojny idąc po linii najmniejszego oporu, a kierowane prawem Karmy, mają miejsce podczas działania tychże promieni księżycowych przy współdziałaniu promieni magnetycznych Marsa. Obie te planety niejednokrotnie działają razem.

Wibracje magnetyczne Marsa na planie astralnym intensywniej pobudzają do wszelkiego ruchu subtelną materję astralną, aniżeli ma to miejsce w mocno zmaterjalizowanym ciele fizycznym.

Działanie to szczególnie przybiera na sile przy współdziałaniu wibracyj magnetycznych promieni księżyca.

Sumujące się wibracje obu planet przyśpieszają wyzwalenie się ciała astralnego z ciała fizycznego, które to staje się ociężałem i sennem.

Ciało astralne natomiast w dwójnasób zyskuje na swobodzie ruchów.

Tem się też tłumaczy postępowanie lunatyków przy wszelkiego rodzaju wędrówkach i poczynaniach, gdzie to całkowita prawie świadomość ruchów nawet, przenosi się z ciała fizycznego do ciała astralnego.

Ciało fizyczne w tym wypadku spełnia tylko rolę ubrania, które to ciało astralne dźwiga na sobie.

M. M.

Joanna d'Arc.

(W 500-letnią rocznicę zgonu.)

„Ecce adsum domine, ut faciam voluntatem tuam.“
Franciszek z Asyżu. (Oto jestem, o Panie, bym czynił
wolę Twoją.)

Trzydziestego maja b. r. Rouen, to miasto, pełne pamiątek z przeszłości Francji, miasto, które ze swojemi starymi murami i basztami, ze swojemi strzelistemi gotykami kościołów i malowniczymi zaułkami, technie tym dziwnym, tajemniczym urokiem głębokiego średniowiecza, — tonęło w kwiatach i światłach, roilo się od przybyszów z najdalszych krańców Francji, od turystów z całego świata, lśniło blaskiem wspaniałych mundurów, kąpiących od złota i drogich kamieni ornatów i chorągwi, purpurą i fioletem dostojników kościoła.

A myślą przewodnią całego owego olbrzymiego, barwnego tłumu, — celem, dla którego zebrano się tu, w tem mieście — muzeum historycznej Francji, było oddanie pokłonu, uczczenie i uświetnienie pamięci Joanny d'Arc, która 500 lat temu tutaj, z wysokości stosu, spojrzała ostatni raz na ukochaną Francję, której oddała całe swe krótkie, lecz jakże bohaterskie życie.

Za naszych czasów wspaniała katedra w Rouen, ten drogocenny klejnot architektury średniowiecznej, spoglądała z równym spokojem na chwałę Joanny, jak 500 lat temu na jej kaźń. Przy biciu wszystkich dzwonów — które

tak samo spiżowym swym dźwiękiem rozrywały ciszę owego dnia, kiedy na starym rynku zapłonął stos z „czarownicą“ z Arc — kardynał Burne, arcybiskup Westminsteru, legat papieski i prymas Anglii złożył hold Joannie w imieniu tych Anglików, którzy 500 lat temu wydali na nią wyrok śmierci. Na jej cześć wygłaszali mowy dostojnicy Kościoła, — tego samego Kościoła, który w roku 1431 uznał Joannę za „czarownicę“ i skazał ją na karę śmierci przez spalenie na stosie, w r. 1909 ogłosił ją jako błogosławioną, a w r. 1920 za świętą. Po ceremoniach kościelnych białe dziewczęta udaly się w pochodzie nad czarną, leniwie płynącą Sekwanę, do której ongiś wrzucono popioły tej narodowej świętej, aby śladu nie zostało po niebezpiecznej czarownicy. Teraz rówieśniczki jej wrzucają kwiaty, które popłyną do morza, tak jak popłynęły popioły Joanny. Wieczorem zapalono na starym rynku płomień pamięci, przed prostym, lecz wzruszającym pomnikiem dłuta Reala del Sarte, stojącym na miejscu kaźni; postać Joanny w długiej, śmiertelnej koszuli, zakłętą sztuką genialnego artysty w twardym kamieniu, zapłonęła odbłaskiem palącej się pochodni, zaróżowiła się twarz jej, pełna bolesnej ekstazy i ręce, skute ciężkimi kajdanami, zaciśnięte w mecę — jak wtedy, gdy na płonącym stosie stała dorodna postać żywej Joanny. A przecież kochała ona tak życie i pełna była jego radości, a musiała umrzeć w dwudziestym wiosnie życia!

Oto zebrał się świat cały, by złożyć hold prostej córce ludu, paszącej w dzieciństwie swem bydło na kwiecistych łąkach Lotaryngji, a która posłuszna swemu aniołowi opiekuńczemu, swemu głosowi wewnętrznemu, ocuciła zrozpaczone lud francuski, ożywiła go nowem męstwem i dźwignęła go z upadku!

★

Przeglądając dzieła, traktujące o Joannie d'Arc, natrafiamy na dziwną rozbieżność poglądów. Obóz katolicki uważa ją za natchnioną narodową „świętą“, która przy pomocy „Boga“ i za Jego wolą prowadzi wojska francuskie do krwawej rzezi. Inni, jak np. P. Thalamas, Henri Bérenger, Anatol France, Lavisse i i., uważają ją za histeryczkę, chorobliwą megalomankę, napół zwarjowaną wizjonerkę, a prof. Robin z Cempuis uważa nawet życie Joanny za mit, gdyż czyny jej wydają się mu zbyt nieprawdopodobne, by mogły być prawdziwe.

Prawda jak zazwyczaj, leży w pośrodku. Z jednej strony odpowiemy tym, którzy są przekonani o posłannictwie Bożem Joanny, którzy wierzą, iż Bóg posłał tę wielką świętą, by podjudzała do mordu i przelewu krwi, choćby w najczystszej myśli, choćby z najidealniejszych pobudek: Bóg, który jest dobrotliwym Ojcem całego stworzenia, który pozwala żyć, rozwijać się i dążyć najmniejszej choćby amebie czy komórce żyjącej, nigdy nie może nawoływać do przelewu krwi i mordu. Sposoby jego działania są tak różnorodne, że najniższy z wszelkich sposobów, t. j. wojny, pożogi i mordy, są mu napewno niepotrzebne, a nawet wręcz niezgodne z samym pojęciem Boga. Dał nam to wyrażnie Chrystus do poznania, wtedy, gdy przyszli wysłańcy kapłanów, by pojmać go i wydać sądom, a apostoł jego, Piotr, w szlachetnym zapale dobył miecza w obronie swego Mistrza; wtedy Chrystus się odezwał: „Włóż miecz twój w pochwę, albowiem wszyscy, którzy miecz biorą, od miecza giną.“

Ale jest prawo najwyższe narodów, według którego układają się ich przeznaczenia. Prawo to może złamać wola ludzka, ale nigdy na długo. Jego działanie nie słabnie — i wcześniej czy później znajdzie swój wyraz. Joanna

d'Arc była jedną z tych niepojętych sposobów i dróg działania tego prawa. Widzimy to, gdy wglębimy się w jej życiorys. Cały jej ustrój psychiczny, cała jej jaźń była jakby przeciwieństwem tego, czego wymagało od niej jej przeznaczenie. I w tem tkwi jej tragedja bolesna. Mimo głębokiego wstępu, mimo biegunowo przeciwnego usposobienia psychicznego, była tak bardzo posłuszną swemu losowi, a objawionemu jej przez głosy duchów, iż przemogła swój wstępn i obrzydzenie — i z pomocą swych opiekunów z zaświatów szczęśliwie doprowadziła do końca swą misję, swe zadanie życiowe.

Bo Francja widocznie była przeznaczona do celów wyższych, a jej kres działania jeszcze nie nadszedł. Niebadana opatrność wybrała dlatego Joannę d'Arc, by była rzecznikzką tego wyższego porządku, według którego sprawiają się losy wszechświata.



Dzieciństwo swe i lata dziewczęce przeżyła Joanna nad brzegami modrej Mozy, wśród słonecznych, zielonych łąk Lotaryngji, gdzie poila się wonią polnych kwiatów i otaczał ją pieścizotliwy chłód starych wierzbn nadrzecznych. Wokół zamykały widnokrag wysokie, gęsto zalesione góry, odgradzające cichą i spokojną dolinę od wrzawy światowej, od szalejącej zawieruchy dziejowej. Jakże często musiała Joanna błądzić w cichej zadumie pod zieloną kopułą wspaniałych lasów, pełnych tajemniczych szmerów, które tak ukochała dusza celycka. Te to pachnące łąki, wierzchołki gór w fioletową mgłę spowite, pokryte tajemniczym borem, ukolysały małą Joannę, przytuliły ją i stała się ich ukochanem dzieckiem, któremu zdradziły swe tajemnice i odsłoniły swą duszę; one to wsączyły w nią upajającą słodycz, wzniosły spokój, owe heroiczne zaparcie samego siebie. Oto miejsce błogosławione, miejsce wzniosłych rozmyślań, gdzie fale harmonij kosmicznych biorą mistyczny ślub z naszą ziemią-karmicielką.

Jako córka ubogich rolników wcześniej poznała twardą pracę i ledwie podrosłwszy, musiała pruć wlnę u boku matki, strzec trzody na łąkach lub pomagać przy plugu ojcu swemu. Było to ciche, łagodne dziecko, przez wszystkich kochane, które więcej żyło życiem nadziemskim, niż przyziemnymi sprawami, które wcześniej poznało upajającą słodycz modlitwy, rozmowy z świetlanymi duchami, którego dusza wzbudzona była naościęz otwarta dla wpływów nadziemskich.

Lecz marzycielskość nie krępuje jej zamiłowania do pracy. Gorliwa w swych obowiązkach stara się uczynić wszystko, co zadowolnićby mogło rodziców i najbliższych. Jej dewizą było: „Niech żyje trud“; znała ona owe ciężkie, choć błogosławione brzemień obowiązku, pracę, która staje się naszą podporą i doradcą w życiu, bez której niema żadnego rozwoju. Pracą jest bowiem pełnienie Woli Bożej, jest naszym piętnem, wyciśniętem nam przez nasze synostwo Boże.

O dobrem jej sercu i współczuciu opowiadają kronikarze rozrzuwające powiastki. Ileż to razy oddawała zgłodniałemu pielgrzymowi swe skromne pożywienie, odstępowała swe łoże, sama spędzając noc na garści słomy, ileż ran opatrzyła i skarg wysłuchiwała, mając dla każdego dobre słowo pociechy i ukojenia.

Lubiła wieczorem wpatrywać się w brylantowe iskry na czarnym szafirze niebios, kochała się w rumieńcach, którymi zorza wschodziła z za boru, w zło-

tych warkoczach rozkolysanych lanów zboża, w cichych błyskawicach letnich wieczorów.

Odżywały wtedy w jej dziewczęcym sercu fantastyczne baśnie, opowiadane przez starców wiejskich, odbijały się jakby echo dzwonów pobożne legendy i podania o świętych Pańskich, o aniołach, o czystej Madonnie, matce Zbawiciela, — owe legendy, których tak pełna dusza prostych wieśniaków, naiwnych dzieci przyrody. Leżąc w piękny dzień letni w woniejącej trawie, przy szmerzącym cicho strumyku górskim, zapatrzywszy się z podgarniętymi pod głowę ramieniami w przeciągający biały oblok na szafirowej kopule niebieskiej, słyszała w duszy swej ten wzniosły hymn ku chwale Bożej, grany w każdym sercu człowieczem przez zastępy świetlanych duchów. A może patrząc w gwiazd gasnącą ciszę, owionęły jej duszę szare mgły smutku, w przeczuciu owej chwili, gdy będzie głosem swym wewnętrznym zmuszona zejść ze swych pól, łąk i pagórków, by wyciągnąć miecz, na bliźnich swych; może widziała stos, podpalony krwawymi rękami katów, na którym miała zginąć obryzgana plwociną i jadem zdrady i okrucieństwa. A wtedy wzrok jej spoczął na fioletowych górach, otulonych w wieczorną osmętnicę, na jasnym rogu miesiąca, sączącym swój mdły poblask na łąki i lasy, które spowite w sen wieczorny, mówiły jej o tem, jak to człowiek żyje po to, by przedewszystkiem spełniać Wolę Bożą, jak to najwyższą cnotą jest posłuszeństwo Ojcu naszemu Wicznemu, szeptały jej o znikomości tego świata, o zdaniu się na Wolę Bożą.

Widzimy więc, jak cała dusza Joanny, jej otoczenie, jak i nauki za młodu pobierane, były tak bardzo oddalone od tego, co nieubłagany, gorzki los jej zgotował. Jakże musiała się jej czysta, dziewicza dusza wzdrygać przed wszelkim okrutnym przelewem krwi, gwałtem i przemocą!

Nie umniejsza to nic postaci Joanny. Owszem, czyni ją jeszcze bardziej godną podziwu naszego, schylamy jeszcze niżej czoło przed jej tragicznym przeznaczeniem, o którym też i niebawem się dowiedziała.

A stało się to tak:

Oto widzi ona pewnego razu świetlaną postać, która jej mówi: „Joanno, córko Boga, bądź dobrą i pobożną. Ufaj w Panu!” Głosy takie stają się coraz częstsze. Jej duch opiekuńczy, którego nazwała archaniołem Michałem, kieruje odtąd każdym jej krokiem. Aż wkońcu daje jej wiedzieć, że czas działania nadszedł. I Joanna ani chwilę się nie waha.

Pewnego mroźnego lecz jasnego poranka zimowego zawiązuje Joanna skromny swój majątek w mały tobolek, chwytając za łaskę podróżną, i poże-gnawszy prerażonych i zaniepokojonych rodziców i najbliższych znajomych, udaje się do Burcy, do swego wuja, który zaprowadza ją na zamek w Chinon.

Nadszedł czas, gdy 17-letnia Joanna musi opuścić swą wioskę rodzinną, której nigdy już nie ujrzy, by być posłuszną swemu losowi, swej ciężkiej Karmie.

Jakież smutek musiał ogarnąć jej czystą duszę, gdy schodziła ze swych gór i łąk, by udać się do pałaców możnych tego świata na dwór lubieżnego króla, do obozów rozwydrzonego żołdactwa, by wypełnić swe ciężkie zadanie życiowe, by być posłuszną swej Karmie.

Nie umie ona ani czytać ani pisać, nie zna się ani trochę na sztuce wojennej, niedoświadczona w krętych i mrocznych zakamarkach sztuki dyplomatycznej, ma jednakże to poczucie swego posłannictwa, tę świadomość tego, że czyni tak, jak wymaga tego od niej prawo Karmy. W tem tkwi jej moc

i siła, oto to, co wnosi do tej walki, rozpoczynającej się obecnie między nią a doradcami tchórzliwego króla lub pysznymi i zarozumiałymi wodzami.

Ileż przesądów stanu i urodzenia, dumy klasowej lub sztycherstwa i brutalności ludzi wojskowych, pomiatających kobietą, musiała zwalczać ta wieśniaczka, nieobeznana ani z etykietą dworską, ani ze sztuką wojenną, o wadliwym, chłopskim akcencie! A ileż niechęci i nieufności musi znieść ze strony duchowieństwa, które opanowane swą demono-manją, składało wszystko na karb czarta i złych mocy. Ale zresztą mniejsza o pobudkę religijną; była to rzecz, której Kościół nigdy nie brał tak dokładnie, którą można było naginać dowolnie, która była liczmanem politycznym w grze o władzę i wpływy między duchowieństwem a możnowładcami. Ale działała ona przeciw za obrebnem ich władzy i powagi, nie mieli oni — mimo wielkiej pobożności Joanny — żadnego wpływu na nią! I to ją zgubi. To będzie powodem niechęci kleru do Joanny!

Wyobraźcie sobie Joannę po przewycięzeniu wszystkich tych przeszkód, gdy ją już przyjęto w poczet rycerzy i ubrano w zbroję — pośród owego gburowanego, rozwydrzonego żołdactwa, z którym odtąd wypada jej żyć, znosić trudy pochodów, miążdzący ciężar żelaznej zbroi, sypiać pod wspólnym namiotem przez długie dni i noce życia obozowego!

To wojsko, opanowane najgorszymi nalogami, gotowe w każdej chwili pójść w rozsypkę, miała zamienić na ludzi, gotowych poświęcić wszystko dla ojczyzny. Nie dokonałaby tego nigdy bez wyraźnej pomocy duchów wyższych i bez swej świadomości czynienia swego zadania życiowego. Jej mowa natchniona, surowe jej obyczaje i niewybredność w codziennem życiu, zyskały jej niepodzielnie serca i umysły tych prostych ludzi. Przez spełnione swe przepowiednie zyskała sobie bezwzględne posłuszeństwo. Zaczęto ją prawie że ubóstwiać, sama jej obecność stała się już synonimem zwycięstwa, była symbolem współludziału nieba. I oto żołdactwo zostało jej wierniejsze, niż król i dostojnicy.

Lecz jakże smutną musiała być jej dusza, jakże obrzydłą ta zgroza wojny, którą widziała wokół siebie. Jakże musiała błagać Boga, by pozwolił jak najprędzej przejść jej przez ten czyściec ziemski, by zanurzyć się duchem w świetlaną sferę, której była dzieckiem.

Rozpoczął się zwycięski pochód Joanny. Dierząc w dłoni swej sztandar o białych liljach na błękitnem polu, jako symbol swego posłannictwa, prowadzi wojska do zdobycia Orleanu, zmusza Anglików do cofnięcia się z nad Loary. Jeszcze raz zostają wojska nieprzyjacielskie pobite pod Patay i teraz dopiero Joanna wprowadza króla do Reims i koronuje go uroczystie na króla Francji.

I na tem misja jej skończona. Coraz szybciej zbliża się finał tej tragedji. Joanna cel swego życia wypełniła i niedaleki już ten czas, gdy oddali się w zaświaty, po krótkim, lecz jakże tragicznem i bolesnem życiu.

Od chwili koronacji króla intrygi dworskie, niewdzięczność, złość duchowieństwa i zła wola króla zaczynają przytłaczać i hamować rozpęd Joanny. Samolubstwo, bezrząd, chciwość i ciemnota ludzka tamują dzieło Joanny i jej pomocników duchowych. Następuje klęska wojsk francuskich pod Paryżem i chwila ostatnia; klęska pod Compiegne i niewola. Nareszcie przyszła chwila, oczekiwana z takim niepokojem przez nienawidzący Joannę kler, gdy

będzie ją mógł bez narażenia się komukolwiek usunąć od wpływów, posądzić o czarownictwo i skazać na okrutną śmierć.

Lecz raz jeszcze okaże, iż stoi pod opieką istot wyższych. Będąc analfabatką, stawi czoło sześćdziesięciu uczonym teologom, posługującym się zręczniami wszelkimi kruczkami i finezjami prawniczymi i teologicznymi. Zniszczy ich zręczniami na nią nastawione sidła, odpowie na wszelkie zarzuty. Niejednokrotnie nawet wprowadzi ich w zakłopotanie i zdumienie swymi błyskawicznymi i przenikliwymi jak pchnięcie szpady odpowiedziami.

Jak zrozumieć tę jej wyższość umysłową przy zupełnym braku wiedzy szkolnej? Odpowiada nam ona sama na to pytanie, gdy zwraca się do sędziów w Poitiers ze słowami tak charakterystycznymi:

„Ja czytam z książki, w której jest więcej rzeczy niż w waszych.“

Bo jasność zaświata będzie zawsze niepokoiła krótkowzroczne dusze nocy i nigdy jej nie rozumieją. Do nich to stosuje się powiedzenie: „Nicością jest to, co wiedzą, a z tego, czego nie wiedzą, daloby się wszechświat stworzyć!“

Nareszcie ciemnota ludzka i fanatyczny dogmatyzm wydały sąd nad Joanną, orzekając o jej związku z czartem i skazując na bolesną śmierć. Warto tu przytoczyć umotywowanie wyroku, jak zachowało się nam ono w książce „Malleus Maleficarum“ (młot na czarownice), w tym osławionym dokumencie ludzkiego okrucieństwa:

„Skoro tedy króla francuskiego Karola w wielu rzeczach ratowała i na królestwie go przez lat kilka utwierdziła, na ostatek za dopuszczeniem, co rzecz pewna, Bożem, od żołnierzy angielskich pojmana i do więzienia dana. Gdzie w zgromadzeniu wielkim ludzi uczonych tak w teologii jako i w innych ludzkich naukach przez czas niemaly badana była. Nakoniec przyznała, że ma towarzysza sobie przytomnego Anioła Bożego, który za zgodą i rozsądkiem ludzi uczonych z wielu znaków i dowodów czartem był osądzony. Iż tedy sprawą z tego ducha rządzona była i czarownicą została, przeto z dekretu zgodnego urzędowego na ogień była wskazana.“

Dnia 30 maja 1431 roku spalono ją na stosie w Rouen. Odeszła tam, dokąd tak bardzo tęskniła, a gdzie dusza jej już dawno tęskniła, a gdzie dusza jej już dawno częściowo przebywała, mimo, iż uwięziona jeszcze w ciele, musiała iść swą bolesną Golgotą.

AGNI P.

Klisze astralne i symboliczne obrazy najbliższej przyszłości.

Włochy.

Wypadki potoczą się szybko jeden za drugim. Lud w podgorączkowym stanie żyje z godziny na godzinę, a naprężenie myśli odpędza — z powiek wielu ludziom. Chwilami będzie się zdawało, że się wypogadza — ale chmury wciąż będą nadciągające i w błyskawicach i piorunach, uderzających na ziemię, łączyć będą opadającą kliszę astralną z wypadkami dnia. Ciężarem swoim zawiśnie owa klisza nad Rzymem, a pomimo, iż w tysiącnych odbi-

ciach uniesie się i nad inne kraje, nie zbledną jej jaskrawe zarysy dwóch skrajności; przechyli się jednak tak, by wielu przy dobrej woli znaleźć mogło ścieżkę orjentacji i właściwą obronę przeciw ogromowi smutku duchowego, jaki zapadać zaczyna do ich serc.

To, co się dzieje w Rzymie, jest wstępem do muzyki przyszłości. Wspomniały przepych, pałace z wielkimi bogactwami ziemskimi będą się chwiać w posadach. Widzę blade, wynędzniałe twarze wielu ludzi i dobrobyt tych, którzy mają iść z pomocą nieszczęśliwym. Czasem pozwolą im zabrać sobie okruszyny z pełnego stołu — okruszyny, spadające z ich uczt. Za daleko zaszli i w swej pysze grzeszą przeciw Duchowi Świętemu, każąc siebie grzesznym kłaść na równi z samym Jezusem.*)

W kliszach, które zwisają tuż nad ziemią, widzę, iż miałyby nastąpić wielkie zmiany. Może to jeszcze zostać wstrzymane, choćby częściowo — ale zdaje się już w niewielkim stopniu. Według tych klisz nim rok z rokiem się zejdzie, Rzym nie będzie już tym Rzymem, jakim dziś jest jeszcze. Wiele owieczek daremnie szukać będzie schronienia przy Ojcu św., bo i on będzie zagrożony — i codzień to potajemnie, to znów głośno wydobywać się będzie z ust wielu ludzi wołanie: „Śmierć Ojcu świętemu!“

Po zburzeniu wielu świątyń i rozprószeniu wielu możnych, stawiających siebie na równi z Chrystusem, nastanie chwilowe odprężenie, ale tem bardziej spotęgują się walki na innych stronach. Gdy w jednym państwie następować będzie względne uspokojenie, w drugim walka będzie się zaostrzać. Walki te według sprawozdań ziemskich nie będą miały tła czysto religijnego, będą to bowiem i zamieszki polityczne, jedno wmieszane w drugie. I tak też będzie się to uwydatniać na kliszach astralnych, tych bardziej przyziemnych. Lecz dalej, dalej poza obrębem tych klisz, klisze inne przedstawiają obrazy zgoła odmienne.

* * *

Widzę na kliszach wieże Watykanu i pięknych świątyń w Rzymie. Widzę wielką górę, wyższą od Giewontu — niby jakiegoś olbrzyma-rycerza. Ta góra-rycerz ma oczy szeroko otwarte; podniosła się na równinie wśród mgły kadzidel, unoszących się aż ponad górę. Poruszyły się olbrzymie ręce, przecierając oczy — lecz te znów dalej nie widzą poprzez mgły. Góra bardziej się porusza, wstaje. Wyrosla ponad mgły kadzidel.

Zatrzęsła się ludzka postać góry, otrząsając się niejako ze snu. Wyciągnęła ręce i jakby dla porannej gimnastyki zaczęła nimi poruszać. Przy każdym poruszeniu zachwiała się jakaś wieżyca i opadła na ziemię. Wiele żołnierzy jak mrówki wspinało się po górze-rycerzu i z pomostu serca, z pomostów ramion i głowy wylatywało, jak strzały, wprost na wieżyce, które coraz bardziej się chwiały i padały na ziemię, a powoli wiele świątyń zamieniało się w szkoły, sierocińce, przytulki i t. p.

Ujrzałam olbrzymią postać, podobną do Mussoliniego, stojącą na grzbiecie żółwia. Żółw miał wielkie oczy z drogich kamieni; nogi jego były niemal całe ukryte w ziemi. Podniósł głowę, wyciągając ją coraz wyżej, coraz wyżej — i głowa przedłużała się, dzieląc się jakby na dziewięć głów, patrzących osiemnastu oczami na wszystkie strony świata.

*) Patrz „Bezpłatny dodatek do „Głosu Eucharyst.“ 1930: „Kaplan jest drugim Chrystusem...“ (Przyp. Red.)

Mussolini jedną nogą zszedł z grzbietu żółwia, przytrzymując jeszcze drugą na jego grzbiecie. Zszedł, by niejako przyjrzeć się rosnącej głowie i oddał jej pozorny pokłon.

Tymczasem żółw posunął się dalej tak, że noga Mussoliniego spoczęła już tuż przy ogonie. Mussolini rychło wskoczył znów na żółwia, lecz już nie na grzbiet, ale na szyję. Żółw, chcąc go strząść, wyprężył się, wysuwając z ziemi i nogi. Nie mogąc go strącić ze siebie, uderzał ogonem w jego plecy i ramiona.

Pod silnym żelaznym pancerzem zatrzęsły się płuca Mussoliniego. Pochylił nieco głowę, by ratować ją przed ciosami — ale tem baczniej zaczął się przyglądać głowie żółwia. Jakieś strzały wciąż dziurawiły ogon smoka. Ten rzucał się coraz bardziej, aż niezręcznym ruchem ogona niechcący wysadził w powietrze tron papieski. Tron opadł na ziemię, łamiąc jedną nogę; długo był oglądany przez znawców, czy mógłby zostać jeszcze naprawiony. Lecz coraz bardziej pochylają głowy i wzruszają bezradnie ramionami.

Potem ujrzałam długi, wielki mur, a za nim wiele pokutujących duchów, płaczących rzewnie. Wydało mi się, jakby chcieli iść na świat, a nie mieli pogo, jakby ich nadzieje rozbiły się o ten mur beznadziejności. Zrozumiałam, że są to duchy księży w zaświecie, które chciałyby iść na świat znów w tej samej roli, ale niema już tam dla nich dość miejsca.

* * *

Polska.

Ujrzałam kobietę, siedzącą u drogi na stromym jej brzegu. Odziana była w pstrą szatę. Wiejska starowina, twarzą odwrócona od drogi. W ręce trzymała różaniec. Na zielonej trawie siedziała golem ciałem, wygodnie, jak u siebie w domu. Była sennie rozmodlona.

Tuż obok niej, za plecami, przechodził mocnym śmiałym krokiem mężczyzna z dłońmi twardymi od pracy. Szedł, szukając pracy. Wiele myśli zaprzętało jego głowę. Nie zważał na rozmodloną starowinę. Z pod chusty tejże, od czerwonych koralii, związanych na szyi, powiewały wstążki — podobne do wstęg na chorągwiach cechowych, ozdobione podobiznami świętych i t. p. Fruwały, tamując poniekąd drogę pracownikowi. Ten nadepnął na nie niechcący, a zauważywszy, że mu się coś płącze pod nogami, splunął i już świadomie nadepnął przy drugim kroku, zrywając w ten sposób część wstęg.

Starowina rozgniewana, że coś jej przerywa modlitwę, zesunęła się niżej z miejsca, na którym siedziała, raniąc sobie przytem naskórek od twardego żwiru, ukrytego w zieleni trawy. Nie myśląc o tem, odmawiała dalej monotonne pacierze.

Robotnik szedł dalej i zaciskał pięści, natrafiając na zamknięte fabryki. Znów splunął przed drzwiami. Rozglądał się, jakby szukał tych, co zamknęły drzwi, o które rozbiły się jego marzenia o przyszłości, o spokojnem, zabezpieczonem życiu na stare lata. Czolo zasępione, chmura rozłożyła się przed jego wzrokiem i we mgłach łez, które w hardości swej wstrzymywał, by nie popłynęły mu z oczu, w gorące wewnętrznej przesuwały mu się różne zjawy, przedstawiające przyczyny nieszczęść na ziemi. Opierając głowę o zamknięte drzwi, patrzył, patrzył jak we śnie, jak wielu bogatych ludzi, wielu milionerów żyje sobie wygodnie, nie oglądając się na tych, co położyli

podwaliny dla ich bogactwa, dla ich dobrobytu. Przygryzał wargi w walce wewnętrznej, raniąc je sobie w zdenerwowaniu aż do krwi. Przycisnął chustkę do krwawiących ust i ukrył ją znów w kieszeni.

Ujrzał także i swoich pocieszycieli, swych rozgrzeszycieli w bogatych szatach; w gorączkowej wizji przesunęły mu się przed oczyma wspaniałe pałace możnych i ci, którzy dają fundament dla ich dobrobytu i szczęścia na ziemi. I krzyknął w jedną stronę: „chleba, pracy, pracy, chleba!“ — a w drugą stronę: „pociechy, nadziei!“.

Lecz chwilę trwała głucha cisza. Odwrócił się z zaciśniętymi pięściami.

Ktoś podał mu kawał chleba. Posilił się, resztę zawiązał do skrwawionej chusty. Poszedł dalej — a gdy spotkał w drodze kogo z tych, których wdział w gorączkowej bolesnej wizji, że oni są przyczyną jego ciężkiej żebraczej doli, bił ich w twarz i serce chlebem, zawiąniętym w skrwawioną chustę — bił ich tak, że aż stracili przytomność umysłu i słabsi padali pod ciosami.

Tymczasem koło starowiny przechodzili śmiałym krokiem inni — lecz ci szli już z większą ufnością w Boga. Kobiecinka zdrzemnęła się przy pacierzu. Zbudził ją śpiew:

„Boże wielki, pełnyś chwał,
Wielbim Twą potęgę, Panie!
Tyś przestworzom życie dał,
Podziwiamy Twe działanie...“

Śpiewający te słowa, człowiek głębok wierzący i zastanawiający się nad sprawami Ducha i stosunkiem człowieka do Boga, spojrzał na starowinkę, wołając niejako wzrokiem: „Zbudź się!“ Nie odwróciła się, niespokojnie zesu- wając się jeszcze niżej, by jej nie przeszkadzano w odmawianiu pacierzy. Znow zraniła się na twardym żwirze, lecz znow na to nie zważała.

A przechodnie zastanawiali się, czy ona stara, czy młoda. Lecz ona na nich nie patrzyła, by nie dojrzano jej twarzy. Ktoś odezwał się: „Na runi młodej siedzi, na runi zielonej, wyrosłej na twardych ugorach. Patrzcie, patrzcie, tam, gdzie siedziała, ruń nie wyrosła, a ona młodszą zdiera ciałem swoim!“

Zdrzemnęła się, licząc i we śnie pacierze na galkach różańca. Wtem w widzeniu sennem ujrzała księży, biegnących w poplochu; niektórzy ukrywali w głębi ziemi różne skarby i ozdoby kościelne, znacząc sobie owe miejsca krzyżem, by mogli później odnaleźć, co schowali. Inni bici i prześladowani, uciekali z wielką trwogą i narzekaniem.

Zaczęła się budzić z ciężkiego snu. Lecz jednego oka nie mogła otworzyć, spojrzała tylko jednym okiem. I powiedziała sobie: „Czyżby rzeczywistość coś się stało?“ Ale już znow nachodziła ją senność. Wszystkich nieszczęśliwych już w myślach ujrzała w niebie, odbierających wielką zapłatę za cierpienia.

Lecz nadbiegły znowu dalsze masy prześladowanych. Zeszła jeszcze niżej na drogę, po której biegli prześladowani. Lecz droga była błotnista, zaczęły jej grzęznąć nogi. Chciała już klęknąć i modlić się za biednych prześladowanych, gdy wtem została potrącona przez samych biegnących, którzy, jak zauważyła, mogli byli ją obejść. Popchnięta padła na kolana, raniąc je sobie, a także uderzając i czołem o ziemię.

Podniosła głowę starowina i Krwią serdeczną zapłakała...

...A potem zjawila mi się klisza, jakby tablica dziesięciorga przykazań, na której pomiędzy innymi wierszami widniał napis: „Polsko, twa zguba w Rzymie!”

Ujrzałam i oczy Słowackiego, które ten napis dostrzegły były i światu go zdradziły.

Podczas gdy starowina krwią serdeczną płakała, czyjeś ręce odwijaly wstęgi od koralí, przymocowanych u szyi. Było więcej rąk białych, lecz mieszały się także pomiędzy te ręce i ręce inne, a paznokcie rąk tych były jak szpony ostre i urywając wstążki, wbijały się i w ciało.

Ciężki łańcuch koralí opadał powoli wzdłuż ciała, zawisając niejako na sercu największemi, najcięższemi koralami — ale po obu stronach zwisającego łańcucha usunięte były podtrzymywacze koralí i te powoli spadały na ziemię. Zakryły je wody łez, które je jakby deszczem skrapiały. Bo wielu, co widziało prawdziwe koralé, nie widziało, że pod jasną, barwną powłoką ukryty jest ciężki łańcuch — i płakali za tą piękną powierzchnią.

A białe ręce delikatnie glaskaly rany, które się pod ich dotknięciem goily. I z lżejszą piersią, z jaśniejszem okiem, jakby odmłodzona i odrodzona, ruszyła kobieta naprzód bitą drogą, wśród rozgwaru wielu innych towarzyszy.

29 maja 1931.

Jasnosłyszenie u muzyków.

Prawie wszyscy genialni kompozytorowie, którzy opromienili sztukę muzyczną, jak Bach, Beethoven, Mozart, oświadczyli, że dochodziły do nich melodie znacznie piękniejsze od wszystkich ziemskich. Byli oni więc medjami słyszącemi. Mówią zresztą sami o tem. Oto kilka przykładów:

Znajdujemy u Goethego (Listy do dziecka) następujące szczegóły o Beethovenie:

B e e t h o v e n, opowiadając o źródle natchnień do swych arcydzieł, mówił do Bettina: „Jestem zmuszony poddawać się falom melodyj, płynących z ogniska natchnienia. Starano się podążać za nimi, chwytano je namiętnie, ale wymykają mi się i nikań wobec mnóstwa otaczających mnie przeszkód. Wkrótce jednak znów chwytano z zapalem natchnienie, zachwycony mnożę jego modulacje i w ostatniej chwili tryumfuję przy pierwszej myśli muzycznej; oto symfonia gotowa...”

Powinienem żyć sam z sobą. Wiem, że Bóg i aniołowie są bliżej mnie w mojej sztuce, niż inni. Komunikuję się z nimi i nie doznaję stąd żadnej trwogi. Muzyka jest jedynem wejściem duchowem do wyższych sfer inteligencji.

Kończąc tworzenie swych najśłodszych melodyj, wykrzykiwał: „Byłem w ekstazie“.

M o z a r t ze swej strony tak opowiada o tajemnicach natchnienia muzycznego w liście do przyjaciela:¹⁾

„Mówisz, że pragnąłbyś wiedzieć, w jaki sposób komponuję i jakiej trzymam się metody. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć nad to,

¹⁾ List ten jest ogłoszony w „Życiu Mozarta“ przez Holmes'a w Londynie 1895 r.

co następuje, bo sam nic nie wiem i nie umiem sobie wytłumaczyć.
„Kiedy jestem w dobrem usposobieniu i sam na przechadźce, napływają mi obficie myśli muzyczne. Nie wiem, skąd te myśli przychodzą i jak dostają się do mnie; wola moja nie bierze w tem żadnego udziału...”

U schyłku życia, kiedy już zawisł nad nim cień śmierci, w chwili ciszy i pogody ducha, przywołał on jednego z przyjaciół, który był z nim w pokoju:

— Słuchaj — rzekł mu — słyszę muzykę.

— Ja nie słyszę nic — odrzekł przyjaciel.

Ale Mozart oczarowany nie przestaje wsłuchiwać się w melodie niebiańskie. I blade jego oblicze promienieje, potem przytacza świadectwo św. Jana: „I słyszałem muzykę niebios.”

Wówczas to skomponował swoje Requiem. Kiedy je ukończył, przywołał córkę Emelję i rzekł:

— Chodź moje dziecko, dopeeniłem już zadania, moje Requiem ukończone.

Córka zaśpiewała kilka strof, a zatrzymawszy się na melancholicznych i głębokich nutach utworu, obejrzała się na ojca, by otrzymać jego uśmiech pochwalny, ale znalazła już tylko uśmiech ciszy i odpocznienia wiekuistego. Mozart odszedł z tego świata.

Godziło się, aby znakomite to medjum, które całe życie wsłuchiwało się w melodyjne głosy przestrzeni, skonało w ostatniej harmonji, oddało duszę w nadludzkiej skardze, o akcentach niewypowiedzianych, do której zdolni są jedynie wielcy natchnieni, gdy wejdą na progi światów chwalebnych.

Massenet z powodu poematu symfonicznego, wykonanego w Leeds w 1898 r., pisał te słowa, powtórzone przez „Light“ z Londynu, 1898 r.:

„Jest coś niezbadanego w tej kompozycji i pragnę, żeby ci, co pierwszy raz ją posłyszają, nie wytworzyli sobie o niej błędnego mniemania. Chcę opowiedzieć historję jej powstania.

Niedawno podróżowałem po Simplon, przybywszy do małego hotelu pośród gór, postanowiłem spędzić tu kilka dni w doskonałej ciszy. Zamieszkałem więc dla odpoczynku, ale pierwszego ranka, kiedy siedziałem sam w tej uroczej ciszy górskiej, dosłyszałem głos. Co śpiewał on? Nie wiem zupełnie. W każdym razie ten głos duchowy, obcy, rozbrzmiewał w moich uszach i zostałem pochłonięty przez marzenie, zrodzone z głosu i samotności górskiej.”

Massenet, jak Mozart, otrzymywał zatem natchnienia z zewnątrz, niezależnie od woli własnej.

Można powiedzieć, że komunikowanie się nieba z ziemią uwidocznia się pod tysiącznemi postaciami w twórcach myśli i geniusza, aby zatryumfowało piękno i urzeczywistnił się ideał boski.

Oto jest prawda odwieczna. Dotąd słabo ją pojmowano. Ale już czyni się światło i wkrótce ludzkość posunie się z większą ufnością po żyznej drodze. Związek żywych z „umarłymi“, z Duchami światła i prawdy, stanie się bardziej świadomy, bardziej skuteczny, a dzieło ludzkie zyska na sile i wielkości.

Wzajemne słuzenie.

Słuzenie bliźniemu — to myśl przewodnia życia i jedyna droga do prawdziwego osobistego i socjalnego postępu. Wszelkie słuzenie, wszelka współpraca nad dobrobytem ogółu, bez egoistycznych pobudek i celów, przyspiesza nadejście nowego porządku, kroczącego ku nam w szybkim tempie.

Jeśli mogą nas czego nauczyć dotychczasowe doświadczenia i prognozyki najbliższej przyszłości, to tego, że przemysł i handel są czemś więcej niż zwykłym środkiem zarabiania pieniędzy i wygodnego życia, że mają służyć ogółowi ludności, wychowaniu społecznemu, socjalnemu rozwojowi i postępowi — że są one dzisiaj jedynym ziemskim fundamentem tego wszystkiego, co nazywamy cywilizacją i że przemysłowiec czy kupiec są obecnie już tylko współpracownikami i sługami szerokiego ogółu.

Widzieliśmy to wyraźnie w wojnie światowej. Dlaczego jednakże nie chcemy tego widzieć w obecnym, znacznie szerszym kryzysie? Bez krzyku, bez współudziału państwowego ustawodawstwa, nawet bez wiedzy proroków i mędrców egoistyczno-gospodarczego systemu, zmieniają się obecnie podłoże i wyraz ogólnej gospodarki; dokładniej już się zmieniły. Przepaść między „interesem”, prowadzonym w starym duchu, a między przedsiębiorstwem nowym, uporządkowanym, prowadzonym na podstawie wzajemnego słuzenia, staje się coraz głębszą. Stary, tylko na egoizmie wzniesiony system „interesu” jest już osądzonym — i wie, że jest osądzonym i skazanym na zagładę. Nic nie zdawało się tak silnem, stałem i ugruntowanem, jak gospodarka oparta na egoizmie, a mimo to możnaby ją obecnie porównać do bałwana ze śniegu, topniejącego pomалу w kwietniowym słońcu.

Jeśli to prawdą — a napewno nie znajdzie się żaden znawca, który, patrząc z wyższego punktu widzenia, chciałby temu zaprzeczyć — cóż wynika z tego dla młodszego kupca czy przemysłowca? Oto to: jeśli pociągają cię handel lub przemysł, jeśli są one twoim ideałem, twoim celem, obchodź się z nimi odpowiednio. Nie odnoś się do nich nigdy, jako do środka do celu, jako pompy, zapomocą której da się w wygodny sposób wypompowywać środki do sybaryckiego życia. Patrz natomiast na nie, jako na ważną część żywego organizmu społecznego, od którego są zależne wszelkie wartości życia. I strzeż się przed drogami i środkami, stosowanymi w starych, na egoizmie i chciwości opartych przedsiębiorstwach. Środki te są w naszym, a bardziej jeszcze w przyszłym okresie o mniejszem praktycznem znaczeniu, niż średniowieczny system tortur i przemocy.

Żyjemy w czasach nowych. Sam musisz objąć kontrolę nad duchem twego przedsiębiorstwa. Twoje przedsiębiorstwo musi odzwierciedlać twego ducha, musi być twojem dziełem, twoją rozrywką, twoim zawodem, twoim zyskiem i twoją stratą, twoją sztuką, twoją wiedzą, twoją służbą Bożą. Gdyż wszystko to jest gospodarką — w znaczeniu właściwem.

(Saturday Evening Post.)

HENRY FORD.

T. W. STEAD.

Przełożyła Janina Kreczyńska.

Listy z zaświata.

(Ciąg dalszy.)

II. Życie po drugiej stronie.

Mój najdroższy przyjacielu, dzisiejszego ranka chciałabym z tobą długi list napisać. Muszę odłożyć na później, co miałam ci powiedzieć o rzeczach osobistych, aby przygotować ci komunikat, jakiego się podjęłam.

Nie będzie to komunikat osobiście cię dotyczący, lecz treści ogólnej, który chciałabym widzieć ogłoszonym w „Zaświecie“ (Borderland).*) Nie często mamy tak dobrą sposobność zwrócenia się do tych, którzy jeszcze w ciele przebywają. Dlatego proszę cię o użyczenie mi całkowitej ręki i pióra przynajmniej na jakąś godzinę.

Przypomnisz sobie zapewne, że opowiadałam ci w ostatnim liście, jak podróżowaliśmy do kraju, w którym spotkałam się ze swymi ukochanymi przyjaciółmi. Spotkanie było śliczne, chociaż w pewnym względzie i osobliwe. Zaszła w nich jakaś zmiana. Wszyscy oni przyjęli mnie z równą jak dawniej życzliwością, a jednak coś cię w nich odmieniło. Nic mi nie przypominało bólu i smutku z tych chwil, gdy żegnałam się z nimi. Urosli oni duchowo. Czulałam się przy nich jak dziecko. Jednak nie okazywali wyniosłości, tylko wiedzieli więcej i kochali też więcej. Do mnie odnosili się łagodnie i przyjaźnie.

Kiedy dusza budzi się po tej stronie, otaczają ją często ci, których kochała i którym służyła za życia. Niekiedy jednak zachodzi w tem pewne opóźnienie. Tak było ze mną. Dlaczego, objaśnię to później. Mówimy ci o czasie i przestrzeni, bowiem panują jeszcze nad tobą warunki ziemskie, a kiedy przyjdiesz tutaj, będzie ci zrazu trudno otrząsnąć się z tych starych pojęć. Zwolna jednak opadną one, jak kokon z motyla. I odczujesz, że przewodnik uwzględnia z czułą pobłażliwością twoje przesady, słabości i nieświadomość.

Kiedy przyszłam tutaj, miałam za sobą niezbyt długie życie ziemskie. Śmierć mnie zabrała o południu lat. Pośród tych, którzy przedemną odeszli, nie było nikogo, kto byłby przedmiotem większej tęsknoty, niż inni. Gdyby Ellen np. mnie wyprzedziła, pierwsza moja myśl byłaby do niej pobiegła i wtedy ona przyszłaby z aniołem. A tak cała tęsknota mego serca należała do pozostałych na waszej stronie. Przywiązanie moje tkwiło całe w waszym świecie i w duszach, które jeszcze żyły w ciałach. Względem nowego świata odczuwałam więcej zaciekawienia i podziwu niż bezpośredniej tęsknoty i chęci spotkania tych, którzy przedemną odeszli. Dlatego opiekun sam wyszedł po mnie. Stąd też i pozornie długa podróż przez daleką przestrzeń.

*) „Borderland“ nazywa się pismo wydawane przez Steada.

Jak pojmujesz tę daleką przestrzeń?

Mój miły przyjacielu, nie jestem w stanie odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. Gdybyś nauczył się rozumieć, co to jest „druga strona każdej rzeczy“ i zdołał pojąć, że widzialne rzeczy są czasowe, zaś niewidzialne — wieczne, łatwiej zrozumiałbyś, jak przedstawia mi się przestrzeń niebieska.

Wśród spotkanych tutaj przyjaciół jest pięć czy sześć osób krewnych i bliskich znajomych, którzy już dłuższy czas tu przebywają. Moja droga siostrzyczka była mi najukochańszą z nich wszystkich. Ujrzałam ją przed sobą taką właśnie, jak kiedy przed wielu laty żegnałam ją dzieckiem, jak wtedy sądziłam, na zawsze. Tymczasem przybrała ona kształty dziecka, aby lepiej być poznaną przeze mnie. Po pewnym czasie, kiedy nauczyłam się więcej o tem życiu, ukazała mi się taką, jaką wszyscy tu ją widzimy: duchem kobiety dorosłej. Wogóle nie sprawia nam żadnej trudności przybierać dowolnie postać, jakiej wymaga chwila dana. Nie chcę przez to powiedzieć, że mogę stale jakąś maskę nosić. Ale na pewien czas każdy może takim się wydać, jakim zechce, albowiem myśl subtelna podobna jest do artysty, który nietylko dobiera celowo farby lub marmur, ale stara się uwydatnić i największe podobieństwo osoby.

Nie powinno to budzić takiego zdumienia w tobie; czy nie masz po swojej stronie dobrego dowodu na to w zjawisku sobowtóra? Jak sobowtór odtwarza tylko samego siebie. Skoro wy, zamknięci w ciałach z mięsa i krwi, odtworzyć możecie swą pozornie prawdziwą i żyjącą podobiznę, nieraz nawet odzianą w szaty, które tylko w waszych myślach istniały, jakże wątpić chcecie, że i my potrafimy to samo, tylko w znaczniejszym zakresie. Dla siebie nie czynimy tego. Gdy jednak zjawia się nowy przybysz, lub zachodzi potrzeba przekonać tych, którzy jeszcze w ciałach żyją, posiłkujemy się tą twórczością myśli i przybieramy postać cielesną, która wam była znana.

Czy możesz mi powiedzieć, jak to się odbywa?

Nie, o tym przedmiocie nie chcę się rozwodzić; jest wiele ważniejszych rzeczy, o których mam pisać, niż to nasze ucieleśnianie się mocą twórczej myśli.

Gdy siostrzyczka mnie uściskała i pozdrowiła radośnie, że przybyłam do sfery, gdzie odnajdują się wszyscy ukochani a straceni, wzięła mnie za rękę i podprowadziła do przyjaciół, którzy oczekiwali na mnie w pobliżu. Przyjęli mnie serdecznie i przyjaźnie i opowiedzieli niejedno. Największem dla mnie zdumieniem była uwaga, że wszyscy my zostaliśmy tak bardzo ci sami. Wcale nie miało to pozorów, że staliśmy się aniołami lub świętymi. Przynajmniej o sobie mogę to śmiało twierdzić. W pierwszej chwili ogarnęło mnie uczucie nieśmiałości i pokory, ale gdy to minęło, moja dawna natura wzięła górę, poczułam, że jestem dalej tem, czem byłam, z tą różnicą, że odzyskałam siły i swobodę. Było to uczucie wzmożonej siły życiowej, podwójnie i potrójnie rozkoszne po mojej chorobie, a połączone z uczuciem uspokojenia i ufności.

Nie przypuszczaj tylko, że miałam siebie za świętą lub anioła. Uczucie niedoskonałości pozostaje w nas. Oh, przyjacielu mój, są tutaj szczyty do osiągnięcia, o jakich nigdy nie śniłeś, a zarazem głębiny miłości, których nigdy nie próbowaliśmy zbadać. A im więcej widzimy i poznajemy i uczymy się miłość boską rozumieć, tem więcej czujemy się zagubieni w przeciwieństwie między bezgraniczną Jego miłością a marnością własnej naszej duszy. Zasadnicza jednak różnica między tem, co czujemy tutaj i na ziemi polega na tem, że posiadamy świadomość miłości. Widzimy, czem jesteśmy i mamy aż nadto często powody do żalu i smutku nad swą niedoskonałością, ale zarazem wiemy, że życie nasze płynie w prawdziwej miłości boskiej i że mimo potykania się dążymy w górę. Potykamy się wszakże, a nawet upadamy w pobliżu boskiego majestatu.

Nawet tutaj! Oh, przyjacielu mój, przyjacielu, czy sądzisz, że ten zlepek namiętności i krewkich mocy, stanowiących to, co zowiesz swoim „ja“, zmieni się nagle z chwilą rozwarcia ziemskiego przybytku twojego tabernakulum? Czyżby wskutek tego duch twój uwolnił się od charakterystycznych rysów, stanowiących twoje ja? Nie, mówię, że nie. Osobowość nie gaśnie, przeciwnie, bardziej się uwydatnia i przejawy jej zyskują na harmonijności. Niepokój świata ziemskiego stąd właśnie wynika. W życiu ziemskim tyle jest tarcia o rogi, kopyta i o cały rynsztunek osobowości, że prawdziwe „ja“ przy tem często bywa pobite.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nigdy tu nie doznajemy wzburzenia, jesteśmy jednak jakby w duchowem i moralnem sanatorjum. Przynieśliśmy tu z sobą wszystkie „duszne“ choroby, które zostaną wyleczone. Najlepiej to zrozumiesz, jak porównasz to z dobroczynnym wpływem jakiegoś klimatu ziemskiego na fizyczne choroby. Tutaj powietrzem naszego życia jest miłość. I wiesz, drogi mój przyjacielu, gdybyś tylko czuł dosyć miłości, miałbyś też niebo i tam, gdzie jesteś. Wierzaj mi, niema większej prawdy nad tę: Bóg jest miłością! Bóg jest miłością!

W tym punkcie przedewszystkiem różni się niebo od ziemi. Jest w niem więcej miłości, i każda miłość budząca żywsze bicie serca ludzkiego, czyni ziemię podobniejszą do nieba. Nie chcę tu wdawać się w wyjaśnienia różnych rodzajów miłości, pisałam już o tem poprzednio. Wszystko, co mam tu jeszcze do powiedzenia, streszcza się w tem, że miłość, która wywyższa cię nad siebie samego, która sprawia, że szczęście cudze wydaje ci się tak ważnem, iż sam bierzesz na siebie z radością wszelki trud i ból, a nawet przekładasz je nad przyjemności, jeśli to służy dobru umiłowanej istoty, że taka miłość pokona świat. Grzech jest to zupełny brak miłości. Zmartwienie zmieniliby się w radość, gdybyś tylko chciał kochać. Wiem, co myślisz: o tem zmartwieniu, które pochodzi stąd, że się kogoś zanadto kocha, — nie, takiego zmartwienia niema, nigdy nie możesz nikogo zanadto kochać. Częściej kochasz innych zamała i troska, jaką czujesz z tego powodu, że kochasz zawiele, jak powiadasz, w rzeczywistości pochodzi stąd, żeś kochał innych zamała.

Straciłeś np. z powodu wyjazdu lub nieporozumienia osobę, którą ubóstwiałeś. Jesteś nieszczęśliwy wskutek tego i życie wydaje ci się ciemnym. Nie masz już przedmiotu, dla którego warto byłoby żyć. Ciemność ta i niedola pochodzi nie stąd, że kochałeś, lecz stąd, że już nie kochasz, bo to, co cię trapi, to jest pustka, luka, która ci w życiu pozostała. Nie odkryłeś tajemnicy prawdziwego życia. do których pozostawiłam i że nie będę doznawała uczucia rozłąki. póki nie nauczyłeś się, że miłość jest różdżką czarodziejską, którą świat odmienić możesz, a gdzie się tak nie dzieje, da się to zawsze wyjaśnić tem, że nie kochasz. Gdyby np. serce twoje zawsze tak pełne miłości było, ile jej czujesz dla najukochańszej kobiety — gdyby każda ludzka i czująca istota była przez ciebie tak kochana, że każda sposobność niesienia jej pomocy lub sprawienia przyjemności, radowały cię tak samo, jak gdybyś czynił to dla osoby ubóstwianej, nie czulbyś się nigdy opuszczonym i samotnym. Życie nie byłoby nigdy pustką ani brzemieniem. Nie, mój najdroższy przyjacielu, uwierz mi, gdy mówię, że najważniejszym ze wszystkiego, co w tej chwili mam ci do powiedzenia, to: Jawną tajemnicą nieba jest miłość! Kto żyje w doskonałej miłości, jest w niebie. Nienawiść jest piekłem. Bóg zaś jest ze wszystkimi, którzy kochają, w takim właśnie stopniu, jak oni kochają. Bóg jest miłością. Ci, którzy nie kochają, są bez Boga.

(C. d. n.)

JEAN MEYER

Jan Meyer urodził się w Riken (Szwajcarja) 8 lipca 1855. Jako młodzieniec 18-letni przybył do Francji, gdzie wkrótce zaznał uśmiechu fortuny. Zaczynając karierę jako skromny pomocnik handlarza winem w Nimes, zyskał sobie wnet takie uznanie w świecie kupieckim dzięki swym wybitnym zdolnościom, że w niedługim czasie stał się prawą ręką i zastępcą możnego przemysłowca w handlu winem, Albina Peyron w Béziers, aby z kolei wybić się na stanowisko jednego z najpotężniejszych przemysłowców i właścicieli winnic we Francji południowej.

Duch jednak tak czynny i dobrą wolą owiany, jakim był Jan Meyer, nie mógł poprzestać jedynie na zdobyciu majątku doczesnego. Majątku tego użył w jeden z najszlachetniejszych sposobów dla dobra bliźnich, w czym jako wzór posłużył mu dawny przełożony jego, Albin Peyron, jeden z pierwszych apostołów Armji Zbawienia we Francji, który znaczną część swoich dochodów obracał na cele sprawy Armji Zbawienia.

Jan Meyer od lat najmłodszych interesował się zagadnieniami bytu i przeznaczenia człowieka. Pragnienie poznania Prawdy popychało go do studjowania przeróżnych dzieł filozoficznych i naukowych. Gdy dnia pewnego wpadły mu w ręce dzieła Allana Kardeca i Leona Denisa, zbliżyło mu nagle oślepiające światło poznania, które rozjaśniło wszystkie dotychczasowe wątpliwości, wskazując mu prawdziwą ścieżkę życia.

Odtąd z zapalem apostołskim poświęcił się studjowaniu i szerzeniu idei spirytystycznej w dziedzinie moralnej, naukowej i społecznej.

Gdy z wybuchem wojny zostało zawieszono wydawanie „La Revue Spirite“ (Przegląd spirytystyczny), Jan Meyer postarał się o uruchomienie tego pisma, a stawszy się jego właścicielem, objął redakcję w 1916 r. W roku następnym w porozumieniu z dwoma wybitnymi przedstawicielami spirytyzmu, Leonem Denis i Gabrielem Delanne, stworzył „Union Spirite Française“ (Związek spirytystyczny francuski), dając mu prowizoryczne locum w swojej willi w Paryżu.

W tym samym roku ufundował przy współudziale dr. Geley'a laboratorium dla naukowego badania zjawisk medjumicznych; w tym to pierwszym ośrodku dla studjów tego rodzaju otrzymano znakomite fotografie materjalizacji i ektoplazmy, ogłoszone w dziele Geley'a: „Ektoplazma i jasnowidzenie“.

W r. 1918 Jan Meyer nabył piękny pałac w Paryżu (89, avenue Niel), gdzie bezzwłocznie ulokował „L'Institut Metapsychique Internationale“ (Instytut metapsychiczny międzynarodowy).

W r. 1923 nabył pałac w Paryżu (la rue Copernic, 8) (Maison des Spirites — Dom spirytystów), gdzie znalazły pomieszczenie „Fédération Spirite Internationale“ (Związek spirytystyczny międzynarodowy), „Union Spirite Française“, oraz administracja i biura „La Revue Spirite“ i „Editions Jean Meyer“ (Wydawnictwa Jana Meyera).

W r. 1924 na kongresie w Liège został Jan Meyer obrany wiceprezesem Fédération Spir. Intern.

W r. 1925 w Domu spirytystów odbył się kongres paryski, zorganizowany przez Jana Meyera, który figurował jako wiceprezes komitetu wykonawczego.

W r. 1928 brał on obok Artura Conan Doyle wybitny udział w pracach kongresu londyńskiego.

Na tym kongresie ogłosił akt darowizny pałacowi przy ulicy Niel na rzecz Instytutu Metapsychicznego, oraz założenie Towarzystwa dla badań metapsychicznych („Société d'Etudes Metapsychiques“) z kapitałem 4 milionów franków.

Pod koniec życia, złożony ciężką chorobą, przez długie miesiące znosił cierpienia z przedziwną odwagą i rezygnacją. Odszedł w zaświaty dnia 13 kwietnia b. r. w willi swej Valrose w Béziers.

Oto krótki bilans tego życia tak owocnego i tak dobrze spełnionego.

Zioła lecznicze.

Żyjemy w czasach, w których mnożą się w zatrwajający sposób wszelakie cielesne i duchowe cierpienia; ludzie stają się pesymistami i znikąd — zdawałoby się — nie można się spodziewać ratunku. Stąd znów powstają chciwość, waśnie, zazdrość i czczy materjalizm. Jakby ziemia była cieplarnią wszelkich złych przymiotów i czynów!

A mimo wszystko! optymizm nie zginął jeszcze bezpowrotnie. Walczy z pesymizmem i z coraz bardziej panoszącym się materjalizmem we wszelkich dziedzinach. Szczególnie ostry bój toczy się między temi dwoma kierunkami w lecznictwie! Spirytualiści przeciwko szkolnej medycynie, zachwaszczonemu materjalizmowi. Allopatja, dzięki swemu zmonopolizowanemu stano-

wisku, jest najważniejszą rzeczniczką pesymizmu życiowego. Swe najwyższe bowiem zadanie widzi tylko jeszcze w zapobieganiu chorobom środkami chemicznymi.

Lecz poza jej plecami odzywa się coraz mocniej zdrowe wycucie naturalnych środków leczniczych. Instytut ten — stłumiony przez szkolną medycynę i jej wierną służebnicę, chemię, prowadzi ludzi znów do tej przebogatej apteki boskiej na łąkach i lasach. Ten pęd do przyrody i w czasie choroby został przez naszą hipercywilizację ośmieszony. Lecz, jak mówi łacińskie przysłowie, naturam expellas furca, tamen usque recurret (naturę choćbyś wygnał widłami, przecież jednakże wróci)!

Czyni się Boga odpowiedzialnym za zło, panujące w świecie! Zapomina się o sobie i o najstarszym, najgorszym wrogu ludzkości: o nieuctwie.

Bóg wszystko uczynił, co tylko leżało w Jego mocy. Dał nam czyste powietrze, czystą wodę, złote promienie słoneczne. Pozwolił rósć roślinom, nam i zwierzętom dla pokarmu i ku leczeniu. W dolinach czy w górach, nad brzegami szumiących potoków leniwych rzek, na łąkach i w sadach, nawet na najwyższych szczytach, znajdziemy ziola — które są prawdziwymi skarbami w lecznictwie.

Jeden z najgorliwszych naszych szermierzy o „nową medycynę”, Dr. med. St. Breyer, pisze tak o własnościach leczniczych ziół: „Skład chemiczny ziół leczniczych jest przebogaty i działanie ich wszechstronne: zawarte w nich olejki eteryczne podniecają tkanki do nowego życia, przyspieszają przemianę materji i ułatwiają w ten sposób wydalenie nagromadzonych truć; działają przytem przeciwnie, odkażająco, nie szkodzą nigdy. Przeróżne sole, siarczany, fosforany, chlorki, związki wapna, krzemu, żelaza, fluoru, dostarczają tkankom z jednej strony materiału potrzebnego do odbudowy, z drugiej działają specyficznje, oczyszczając je i do stanu normalnego doprowadzając. Najprzeróżniejsze inne składniki organiczne działają jużto łagodząco, osłaniająco, kojąco, znieczulająco, ściągająco, jużto podniecająco, rozrzedzająco, przeczyszczająco, a co najważniejsza, działanie to nie jest nigdy jednostronne i nigdy nie grozi szkodliwymi następstwami.“

Nie zapominajmy również, iż znajomość leczniczych własności roślin trudno przypisać w swych początkach ślepeму przypadkowi. Bez wątpienia odgrywały tu wielką rolę okultystyczne środki poznania. To, co obecnie nazywamy „medycyną ludową”, wyprowadza się bardzo często — przedewszystkiem leczenie ziołami — ze źródeł okultystycznych. To, że medycynie szkolnej owe źródła okultystyczne są nieznane, mało znaczy w tym wypadku i nie przemawia ani trochę za skutecznością czy nieskutecznością danych sposobów i środków.

Niech również nie dziwi nikogo to, że za najskuteczniejsze są nieraz uważane rośliny najpospolitsze. Właśnie że siła lecznicza tych najprostszych środków jest wiedzy oficjalnej jeszcze najmniej znana, a więc „okultystyczna”, t. j. ukryta. Jest faktem nie do zaprzeczenia, że niejeden chory, któremu profesorowie, doktorowie nie już pomóc nie mogli, odzyskał swe zdrowie dzięki pospolitemu zielu, wskazanemu mu przez starą kobietę, górala, czy „znachora”. Wśród ludu bowiem niejednokrotnie utrzymała się jeszcze cenna, okultystyczna tradycja.

I jeszcze jedna przyczyna jest wielce miarodajną do użycia rośliny w lecznictwie. Nigdy bowiem nie możemy powiedzieć z absolutną pewnością, który składnik chemiczny powoduje w danym wypadku skutek leczniczy. Właśnie to, co wydaje nam się najmniej ważnem, może okazać się najskuteczniejszym. Pomyślmy tylko dla porównania o ważnej roli witamin w naszych artykułach spożywczych, których działalność była niedawno jeszcze w nauce zupełnie „okultystyczna”. Na ważny ten czynnik, przemawiający za używaniem roślin w medycynie, wskazał Libra w swej książce „Kosmos i Mikrokosmos“.

„Alkaloid, czy inny składnik, wydobyty chemicznie z rośliny, nigdy nie może zastąpić działania całej rośliny; dla osiągnięcia zupełnego skutku jest cała roślina konieczna. Przyznają to i fachowcy, którzy chcą powrócić do starych metod farmacji. Dr. Wester dał temu wyraz w mowie, którą miał w czerwcu 1915 r. w Leyden na okazji objęcia prywatnej docentury. Bronił on przastarej i naturalnej metody sporządzania lekarstw z ziół, gdyż — jak mówił — „całość składników pakiejś rośliny działa inaczej i skuteczniej, niż wyizolowany z nich czysty składnik. Niejeden lekarz wyżej ceni odwar digitalisu, niż jego liczne, chemicznie oczyszczone preparaty. Z radością widzę, iż zewsząd mnożą się głosy, domagające

się starych sposobów. Tak też ukrywają się między środkami t. zw. przestarzałymi środkami, które wyszły z użytkowania, niejednokrotnie preparaty o bez porównania większej wartości i skuteczności, niż zastępujące je nowe, nieraz oszukańcze. Widziałem na własne oczy, podczas podróży z Indji do Holandji, przykład, potwierdzający to, co wyżej powiedziałem. Jeden z pasażerów rozchorował się na dysenterję (biegunkę) i leczono go taniną. Ponieważ jednakże stan jego coraz bardziej się pogarszał, a wcale nie odczuwał chęci pozwolić się wśród 6 desek wrzucić do morza — starał się wpłynąć na lekarza, by pozwolił mu, gdy tylko przybędą do Colombo, postarać się o jego wypróbowany środek — t. j. herbatę ze simaruka i z lyka drzewa granatowego. Lekarz okrętowy, młody i mało doświadczony, oświadczył, iż tanina jest jedynie skutecznym środkiem i by zachować swą powagę przerwał wszelką dyskusję słowami: „to wykluczone”. Pasażer, choć prawie że już zupełnie wycieńczony, miał na szczęście jednakże jeszcze tyle energii, iż postanowił sam się udać po ten środek. Po licznych trudnościach znalazł w końcu aptekarza, który mógł mu środka tego dostarczyć — już ledwie dysząc ze zmęczenia powrócił na okręt. Skutek tego środka był piorunujący. Chory, który przez szereg już dni ledwie mógł chodzić ze zmęczenia, już po dwóch dniach przechadzał się sam po pokładzie, a do Port Said przyjechał zdrowy i pełen energii. Czego tygodniami trwająca kuracja z tanniną nie mogła dokazać, tego dokazał środek, uważany w medycynie za przestrzalę, w przeciągu 2 dni.“

A więc są jeszcze ludzie, którzy nie stracili swego naturalnego instynktu, którzy szukają zdrowia tam, gdzie ludzkie ręce nie partaczą przyrody, którzy zachowali jeszcze swój zdrowy rozsądek i wiedza, gdzie znajdują zdrowie.

Każdy naród ma na swych łąkach i polach, w swych lasach i ogrodach te rośliny, które są mu najodpowiedniejsze. Z tego, iż lecznicze własności roślin się ignoruje lub niemi gardzi, nie wynika, by w nich sił takich nie było, lecz jedynie to, iż ludzkość dzisiejsza pod wpływem materialistycznej cywilizacji zatraciła swój naturalny instynkt.

C. d. n. M. W.

Kronika.

(Z prasy krajowej i zagranicznej.)

Dziwy lingwistyczne na seansach spirytystycznych.

„Licht“ (Wrocław) w jednym z ostatnich numerów poświęca tej sprawie krótki, ale interesujący artykuł:

Skrzypek niemiecki Florizel von Reuter był przyjacielem sławnego medjum pocieszyciel, gdzie opowiada, iż otrzymał od niego od 1927 r. komunikaty w języku niemieckim, angielskim i innych, a to zapomocą „Additora“, przyrzędu dla pisma medialnego.

Pewnego dnia przyrząd napisał: „Jakiś osobnik bełkoce tak, że go nikt nie może zrozumieć. Mówi „Prasau Tamsta“, potem „Laba diena“, potem coś, jak „Zupones ir“, potem „Ponai“...“

Komunikat ten pozostał niezrozumiały dla wszystkich uczestników seansu. Lecz w rok później, dzięki Hansowi Driesch, tekst ten został przedstawiony pewnemu profesorowi uniwersytetu, specjaliście w językach wschodnich. Ten, spojrzawszy na to, poznał dżalekt bałtycki. Inny lingwista, prof. Gerullis, orzekł:

„Jest to język litewski w formie, która sięga przeszło 50 lat wstecz, fonetycznie dobrze oddany, co jest niemal niepodobieństwem dla Anglika albo Niemca. Słowo „Zupones“ (pani) choć było w użyciu jakieś 50 lat temu, dziś już nie spotyka się w języku literackim.“

W lipcu 1929 jeden z redaktorów „Light“, pisma spiryt. angielskiego, jasnoświątujący, otrzymał długi komunikat w dżalekie hinduskim.

Ciekawe, jak wytłumaczy takie fakta metapsychicy materjaliści i animiści.

Chrystus objawił się kinooperatorom włoskim?

I. K. C. 25 V 1931.

Nasz korespondent donosi z Triestu: Triest jest od kilku tygodni pod wielkim wrażeniem niezwykłego faktu, który dotychczas jeszcze nie został należycie wyjaśniony. Oto przed niedawnym czasem 23-letni młodzieniec Bruno Picco, z zawodu operator filmowy, oświadczył, że w kościele św. Antoniego ukazał mu się Chrystus. Nie zwrócono na to większej uwagi, a nawet sztychono z młodzieńca. Tymczasem wizja jego nie tylko że powtórzyła się, ale została utrwalona na filmie.

Stało się to wśród następujących okoliczności: Bruno Picco, razem z dwoma innymi operatorami filmowymi z firmy „Mauricius Film“ znajdowali się koło willi „Revoltella della Cacciatore“, celem nakręcenia tam jakiegoś filmu. W pewnej chwili Picco oraz drugi operator filmowy Ptacek ulegli jakiemuś ogromnemu wzruszeniu i zdenerwowaniu i wypuścili aparaty z ręki. Nie powiedzieli jednak nikomu, co było przyczyną tego zdenerwowania. Kiedy powrócili do domu i zaczęli wywoływać klisze, ujrzeli na niej w 30 obrazach postać Zbawiciela, bosą, w białej długiej szacie i z nimbem na głowie. Od tej postaci bił taki blask, że zaćmił wszystko inne tak, że na kliszy widnieje tylko postać Chrystusa, a reszta jakby została usunięta. Oczywiście przyczyną ich wzruszenia było ukazanie się im tej niezwykłej postaci.

Film ten został natychmiast przesłany do Rzymu, a władze kościelne przystąpiły natychmiast do zbadania całej sprawy.

Wyjaśnienie.

Zapytana w tej sprawie jasnowidząca A. P. komunikuje nam:

Obaj kinooperatorzy są medjami, Picco materializacyjnym, a Ptacek inspiracyjnym.

Pierwszy z nich, będąc w kościele, uczył się niemal przejęty i wzruszony modłami wiernych, w których zresztą i sam brał niejednokrotnie udział. Owa duchowa siła modlitwy, choćby nawet nieświadomej i banalnej, żywy duch, zaklęty w słowa, powtarzane z gorącą wiarą i głębokim wzruszeniem, nie mogły nie wywrzeć głębokiego wpływu na tak podatną osobistość, jaką był medium Picco. Niemalą rolę odgrywa też w tym wypadku pewien duch księdza, przebywający stale w tym kościele — działał on w tym wypadku jak soczewka, skupiająca światło, na ów fluid, wypromieniowywany podczas modłów wiernych. Był on tym, który rozmodlonemu tłumowi potrafił narzucić, może zresztą nieświadomie, swą wolę, skoordynować osobiste modły jednostek, skierowywując je do jednego celu, zasilając nimi swą fantazję, oczekującą zjawy Chrystusa. Od pewnego czasu kościół ten był poprostu nasycony pragnieniem „cudu“, jego aura silnie oddziaływała na podświadomość każdego wiernego, budząc w nim trwożne oczekiwanie czegoś wielkiego, niepojętego.

Wcześniej czy później takie intensywne skupienie myślowe musiało znaleźć formę bardziej materialną, więcej uchwytą. Trzeba było do tego jednakże pewnego „pośrednika“, t. j. odpowiedniego medium. Medium takim był Picco, który dał swój magnetyzm na ucieleśnienie się owego wymyślanego przez lud myślotworu. Ukazał mu się „Chrystus“, lecz Chrystus-myślotwór, ucieleśnienie pragnień i myśli rozmodlonego tłumu*).

*) Postać cała i rysy owego zmaterializowanego Chrystusa były przytem podobne do analogicznej postaci na jednym z obrazów tego kościoła, która dobrze widoczna i odpowiednio wyrazista, służyła za podświadomy wzór w stworzeniu owego myślotworu.

Do głębi przejęty ową wizją, zaczął Picco opowiadać o tem, co widział. Lecz napotkał tylko na niezrozumienie i szyderstwa. Ambitny młodzieniec, widząc się pośmiewiskiem swych znajomych, a nawet posądzanym o megalomanję czy ordynarne kłamstwo, miał odtąd jedno tylko pragnienie: Dać dowód, iż rzeczywiście widział Chrystusa. Autosugestia taka u tak podatnej osobistości, jak Picco, nie pozostała bez skutków. Ów myślotwór, raz już zmaterializowany dzięki młodemu kinooperatorowi, utkwiał tak silnie w jego podświadomości, że przy odpowiednio silnem natężeniu uczuciuwem mógł jeszcze raz się zmaterializować, posłuszny niejako woli młodego medium. Materializacja taka nastąpiła już teraz

w warunkach, które pozwoliły na jej sfilmowanie, czerpiąc potrzebną do tego siłę również i z owego drugiego medjum, obecnego podówczas Ptacek'a.

Władzom kościelnym, nie chcącym uznać medjumizmu, fakt ten przysporzył niemało kłopotu. Ostrożny bowiem w „robieeniu” cudów kościoł będzie widział w tem wszystkim mistyfikację, obliczoną na zysk reklamę lub sprytny trick filmowy. Sprzę taką rozważnia i rozkłada się tradycyjnym sposobem przez dziesiątki lat, strzegąc się skrzętnie przed jakimkolwiek zdecydowanym zajęciem stanowiska, przed jasnym sformułowaniem swego sądu.

A ludzkość tymczasem kroczy drogami swego przeznaczenia — i widząc się rozczarowaną w swych pragnieniach spokoju i szczęścia, mimo wspaniałego rozwoju techniki i nauki, zwraca się na inne tory, do owego „źródła żywego”, tryskającego z głębi podświadomości z tajemniczej krainy Wielkiego Milczenia. I szczęśliwy ten, w którym jeszcze tli isierka wiary i miłości Boga, który zdoła będzie się jeszcze na siłę, by żyć według Jego woli.

Krzyż świetlny nad Anglią.

Jak donosi I. K. Codz. z 13 VI br. zauważono w Anglii poprzedniej nocy niezwykle zjawisko. „W nocy około godz. 11 na niebie w wysokości 5.000 m ukazało się czerwone światło, bardzo silne, które widoczne było około 5 sekund, a blask jego był tak silny, że cały horyzont był zaróżowiony.

Niektórzy z obserwatorów tego fenomenu twierdzili, że światło to posiadało kształt dużego krzyża. Zjawisko jest przedmiotem licznych komentarzy i narazie nie wypowiedziały się co do niego obserwatorzy ani sfery miarodajne.“

* * *

Już w nrze noworocznym wspominaliśmy o dziwnych znakach, o światłach, jakie ukazały się w niedługim czasie na niebie etc. Dokładniejsze wyjaśnienie opisanego wyżej faktu otrzymaliśmy od jasnovidzącej A. P.:

Tak jak wiele ciemnych duchów pierzcha przed znakiem krzyża, jeśli ktoś o czystszym sumieniu czyni taki znak ręką przed niemi, lub też broni się przed niemi krzyżem, trzymanym w ręce — tak też inne ciemne duchy, tkwiące we większym buncie i sile magicznej woli, krzyżem przez siebie wytworzonym zagradzają innym drogę w przestworzach w pobliżu ziemi, podobnie jak to niegdyś zawiesiły w świecie astralnym olbrzymi krzyż, stworzony przez nich dla Jezusa.

Te to duchy złej woli wytworzyły ogromne pasma magiczne fosforycznej siły w kształcie krzyża, grożąc że paląc nim będą eteryczne ciała dobrych duchów, które w zwartych szeregach zbliżają się ku ludności Anglii, by przy obniżeniu się kliszy, na której mocno jest zarysowane coś w rodzaju rewolucji, by jeszcze przedtem otulić swoim wpływem ludzi odwetu, aby ci z większym zrównoważeniem patrzeć potrafili na nadchodzące sprawy i by walkę sami w sobie stoczyli, walkę duchową, w której zwyciężyć powinna chęć pokoju i której skutkiem ma się stać postęp duchowy naprzód i rozbudzenie się duchowe.

Pod wpływem siły magnetycznej, wysyłanej przez dobre duchy, pod wpływem myśli ich: „Niech zło zniknie, niech się rozpada, niech samo w sobie się spala!”, skierowanych na owe siły fosforyczne w kształcie krzyża — zostały pasma te zgarnięte w jedno wielkie jajo, które pod wpływem nadmiernego tarcia spłonęło w sobie, a przy spłonięciu znów rozleciały się gazy nieczyste, formując się ponownie w kształcie krzyża. Gdy tak z wielką siłą płonęły, były widziane przez wielu ludzi.

Wybuch tego piekielnego meteorytu gazowego w kształcie krzyża może powodować jeszcze wstrząsy w Anglii, wstrząsy podziemne, bo nie wszystko zło zostało spalone, wsiąkając w ziemię jak elektryczność — ale pierwsza klisza już znacznie przybladła i zatrzymała się w opadaniu, tak że gdyby spadła na ziemię w Anglii, nie będzie już tak smutnych zajęć, jak w Hiszpanii.

Profesor japoński o jasnovidzeniu.

M. T. Fukurai, profesor uniwersytetu w Kohyassan (Japonja) wydał w Londynie (u Ridera) dzieło: „Clairvoyance and Thoughtography”, w którym ogłasza swoje liczne i sławne doświadczenia na polu jasnovidzenia i fotografii myśli.

*) Patrz „Hejnał” z r. b., str. 4 i 63.

Dziwne światła.

P. Maurycy Gilburd w majątku Zakrzewszczyźnie p. Zdołbunów przesłał do redakcji I. Kurjera Codz. relację o zaobserwowanych przez niego zagadkowych światłach w polu, mających niby „błędne ogniki”. Umieszczamy poniżej ów opis oraz wyjaśnienie tego zjawiska, otrzymane od jasnowidzącej Agni P.

„Od szeregu lat spostrzegala służba folwarczna, siedząc w letnie wieczory przy czworakach, jakieś dziwne światło, wielkości i koloru elektrycznej latarki, w odległości jakich stu metrów, przelatujące doliną na wysokości jednego metra nad ziemią, do pobliskiego lasku, gdzie ginęło. Raz fornał, pilnujący w nocy koni na łące, ucieszył się widokiem, według jego mniemania, palącego się złota. Nie tracąc czasu, co sił w nogach, popędził w kierunku światła, by miejsce to czapką zaznaczyć, nazajutrz zaś na tem miejscu skarb wykopać. Tchu biedakowi zabrakło, gdy się opamiętał i zorjentował w okolicy, że się znajduje niedaleko sąsiedniej wsi. Przegalopował 2 km za światłem, nieinaczej to tylko djabeł go otumanił. I faktycznie, gdy się obejrzał, ujrzał na łące owe dziwaczne światło, zdaleka zaś dobiegło go przeraźliwe rżenie koni i... więcej nie pamięta. Zemdlął. Nazajutrz, gdy słońce już stało wysoko, przyszedł zgnębiony, a opowiadając mi o tej przygodzie, 'zarzekał się na całe życie pilnowania koni na tej „djabelskiej” łące.

Osobiście sam przed kilku dniami, dnia 22 kwietnia, ujrzałem to zjawisko około godz. 10 w nocy, z tą tylko różnicą, że światło nie ukazało się mi ani w dolinie, ani też na łące, tylko w lasku, a właściwie w starym, zdziczałym parku, zarośniętym gęsto krzewami. Pomyślałem, że ktoś z latarką chodzi po parku, albowiem na myśl mi nawet nie przyszły bajki o „światłach”, którym nie dawałem wiary. Któżby to jednak mógł być? Chcąc zaspokoić ciekawość, gwizdnąłem na psy, kierując się ku nieznanemu „gościowi”. Zaledwem jednak postąpił parę kroków naprzód, światło zgasło, by po chwili się znów zapalić w odległości około 50 m. Pomyślałem sobie: „ten gość oddalił się”, lecz przypuszczeniem mym zaprzeczył fakt, że poprzednie światelko znów się zapaliło. Więc było ich już dwa. Zwróciłem uwagę na zachowanie się moich psów: czognały się na brzuchu, skomląc z najeżoną sierścią. Cóż to znaczy? Przecież człowiekaby się nie bały — pomyślałem. Z twarzą zwróconą w kierunku światła zacząłem się cofać. W tej chwili psy z ίσcie piekielnym szczekaniem, nie bacząc na moje nawoływania, pierzchy z pola zapasów z „nieznany”. Sam się wtedy porządnie przestraszyłem. Napewno niejeden z czytelników uczyni w duchu uwagę: tchórz! A jednak rzeknę w swojej obronie, że takie niesamowite wrażenia dziwnie wstrząsają człowiekiem i odbierają mu pewność siebie. Gwizdnąłem na stróża, a gdy nadbiegł, światła jednocześnie zabłysły, by pograżyć się w mroku nocy i więcej się już nie ukazały.

Stróż opowiedział mi jeszcze kilka rzekomo autentycznych zdarzeń na ten temat, poczem trzykrotnie czyniąc znak krzyża, splunął, kończąc soczystym frazesem: „Byj tebe syła Boża”. Dowiedziałem się między innymi od niego, że bardzo często, co roku, podczas orki, która się przeważnie na jesień odbywa, wyorują fornale kości ludzkie. Raz nawet wyorali szklielet w szczytkach murowanej jakiejś budowli, a obok niego garnek i misę glinianą, którą niestety plug zmiażdżył.

Ludzie w okolicy łączą te światła z temi kośćmi i myślą, że to kości tak fosforują. Maurycy Gilburd.“

(Wy tłumaczenie.)

Owe niby błędne ogniki to duchy powstańców, których ciała są pogrzebane w tem miejscu. 23 duchy pilnują swoich ciał, mając je w trzech oddzielnych grupach niedaleko od siebie. Na niektóre ciała była narzucona ziemia nawet ani na 1/2 metra grubości. Zakopywani dawali jeszcze oznaki życia, a zdając sobie sprawę, co się z nimi dzieje, myśleli że zgroza: „Jesteśmy żywcem pogrzebani i to na niepoświęconem miejscu!” Odeszli od ciał swoich, lecz nie daleko, ponad prymitywne mogiły. Tych kilku żywcem pogrzebanych swojemi rozpaczliwemi nawoływaniami zbudziło i innych, już uprzednio zabitych na polu walki i starali się dać znać o sobie, że czekają na pogrzebanie swoich zwłok. Będąc obarczeni Karą, nie mogli się ruszyć dalej. Bez głębszej świadomości duchowej własną

myślą się zahipnotyzowali i zmusili niejako do wyczekiwania, nie wiedząc nawet, ile lat oczekują tak na tem miejscu! Mieli z sobą coś w rodzaju polowej kuchni, naczynie mocno uszkodzone zostało również przysypane gliną, ale już nieco później, i to przez ludzi cywilnych, nie chcących nic brać z tego dla siebie, bojąc się, żeby ich coś nie straszło. Jest tam także zagrzebane nieco rzeczy, zrabowanych przez zabitych, które ci ukryli w ziemi jeszcze przedtem, nim zostali zabici. Gdyby te kości zostały pogrzebane tak, jak sobie tego życzą owe niejako uwiecznione duchy, znikłyby światelka w owem miejscu, natomiast ukazywałyby się do pewnego czasu na cmentarzu, bo duchy te silnie są zmaterializowane przez magnetyzm ziemi, gdyż ziemia przez długoletnie łączenie się ich z nią przyciąga ich astralne ciała.

Ciemne duchy wiedziały o ich ujarzmieniu, te same, które w złej woli pomagały do wywołania powstania. I kiedy dokuca im narzekanie uwiecznionych, złością się i mówią do nieszczęśliwych: — „Daremne wasze strania, by dać znać ludziom o sobie, daremnie wołacie: „światła, światła!“ Chociaż sami światłem zabyśniecie, to na takie światła ludzie nie lecą, ale się ich boją. Gdyby to światło pochodziło od złota, o, wtedyby ludzie prędzej za niem podążyli.“

I gdy znów zjawilo się światło, które urzał ów fornał, a nieszczęśliwi zobaczyli, że on w ich stronę patrzy, natychmiast zaczęli wołać: „Prędko, prędko, tu jest złoto!“ Myśleli bowiem, że przy szukaniu tego złota ludzie znajdą kości i pogrzebią je. To też fornał uchwycił tylko myśl o złocie, a mając narzuconą myśl, że ono świeci i w miejscu światelka się znajduje, biegł w owo miejsce, wpatrzone usilnie w to światło, lękając się, by nie zniknęło; w biegu natomiast niejako odtraćł się od ciała pod wpływem hipnotycznej myśli i zemdłał, a duch fornała w znacznej mierze się odłączył. Stańły mu jednak w drodze upiory, a do tego mieszał się krzyk zrozpaczonych powstańców. W lęku obudził się, nie przypominając sobie, co przeżył, ale postanowił omijać to miejsce, wyczuwając jakieś nieszczęście, które tam miało miejsce.

Ciekawy fakt spirytystyczny w Persji.

Towarzystwo spirytyst. w Teheranie otrzymało od swego korespondenta z Kazvine nast. list:

28 sierpnia 1930 Seyed Morteza, policjant nr. 109, przechodząc ulicą Darbé—Kuchk w Kazvine, usłyszał, iż wzywają go z jednego domu. Wszedł, przeprowadził ścisłe dochodzenie, o którym raport złożył w komisarjacie. Sprawa oparła się o trybunał.

Otóż pani Farkhondé oznajmiła, iż po śmierci męża, Machhadi Mohammed, kupca korzennego, zmuszona była sprzedać dom pani Bala, małżonce Mirza Mohammed, Izraelity nowonawróconego. Ostatniej nocy, którą spędziła w domu rodzinnym, miała dziwny sen:

Zjawił jej się mąż, bardzo smutny. Gdy go zapytała o powód tego smutku, otrzymała odpowiedź: „Sprzedaż naszego domu mnie zasmuca!“ Wskazała na swoje ciężkie położenie. Wówczas mąż poradził jej, by poszukała 100 tomanów (2000 franków francuskich), które on ukrył pod schodami wewnętrznymi domu.

Na drugi dzień pod wpływem tego snu pani Farkhondé poszła do domu, który była sprzedała, aby odnaleźć sto tomanów. Na prośbę swą, by p. Bala pozwoliła jej kopać we wskazanem miejscu, otrzymała brutalną odpowiedź odmowną. Wobec tego poszukała młodego podoficera, Réza Khan, z regimentu Ghahréman i w jego towarzystwie wróciła do dawniej swojego domu. Pani Bala nie odważyła się teraz stawiać oporu. Robotnik Réza Gholi ofiarował swą pomoc i istotnie w miejscu, objawionem we śnie przez zmarłego Machhadi Mohammed, znalazł garnek gliniany, napelniony sztukami po dwa „kranks“ (4 franki). Pani Bala na widok tych pieniędzy próbowała sprzeciwić się zabraniu owych stu tomanów. I oto to był powód, dla którego podoficer Réza Khan i p. Farkhondé wezwali policjanta, przechodzącego tamtędy.

Zanim sprawa została sądownie załatwiona, p. F. umarła, ale trybunał przyznał ów skarb dziedzicom kupca Machhadi Mohammed.

PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ

Z WĘDRÓWKI ŻYCIOWEJ
POPRZEZ WIEKI

POPREDZONE WSTĘPEM
O ISTOCIE JASNOWIDZENIA, NOWEJ ERZE ETC.
I UZUPEŁNIONE DODATKIEM, W KTÓRYM PRZYTOCZONO
M. I. SZEREG PRZYKŁADÓW NA PRZEJAWIANIE SIĘ
PRAWA KARMY I REINKARNACJI W ŻYCIU
ZNANYCH POWSZECHNIE LUDZI

TOM I



CENA księgarska 6 zł, dla Czytelników Hejnału 5 zł;
na papierze bezdrzewnym: broszurowane 7 zł, w opr.
:: wie płóciennej wraz z podobizną autorki 9 zł ::

NAKŁADEM
WYDAWNICTWA „HEJNAŁ“, WISŁA, ŚLĄSK CIESZYŃSKI
1930



Warunkiem czytania dobrych książek — nie czytać złych; bowiem życie jest krótkie, a czas i siły ograniczone.

Schopenhauer.

Co czytać?

	Zł
ŻYCIE PO ŚMIERCI — L. DENIS	4.30
DUCHY I MEDJA — L. Denis	0.80
ŻYCIE NA ZIEMI I W ZAŚWIECIE, CZYLI WĘDRÓWKA DUSZ — A. P.	5.20
CZY FANTAZJA (sztuka spirytystyczna)	1.—
POD ZNAKIEM WODNIKA (dramat spirytual.)	1.60
MATERJALIZACJA ZJAWISK DUCHOWYCH — Dr. Geley	1.80
PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ, z wędrówki życiowej poprzez wieki — poprzedzone wstępem o istocie jasnowidzenia, Nowej Erze etc. i uzu- pełnione dodatkiem, w którym m. i. przytoczono szereg przykładów na przejawianie się Prawa Karmy i Reinkarnacji w życiu znanych po- wszechnie ludzi. — Cena księgarska 6 zł, na papierze bezdrzewnym w oprawie płóciennej wraz z podobizną autorki	9.—
MOC DUCHA — P. Mulford	7.80
PRZECIW ŚMIERCI — P. Mulford	6.—
MOC ŻYCIA — P. Mulford	6.80
WTAJEMNICZENIA, powieść dla „Maluczkich”, P. Sedir	3.—
SIŁY MISTYCZNE I SPRAWOWANIE ŻYCIOWE, P. Sedir	2.50
KILKU PRZYJACIOŁ BOGA — P. Sedir	2.—
UZDROWIENIE CHRYSYUSA — P. Sedir	6.—
ENERGJA ASCETYCZNA — P. Sedir	0.50
Polski Kalendarz Astrologiczny i Efemerydy astronomiczne na rok 1931 — opracował Fr. Prengel	3.—

★

DZIEŁA DRA MED. ST. BREYERA.

Z POGRANICZA ZAŚWIATÓW.

Treść: Od materji do ducha, Hipnoza, Letarg, Lunatyzm, Medjumizm,
Spirytyzm, Życie pozagrobowe, Lecznictwo przyszłości

zł 4.—

ZAGADKA CZŁOWIEKA

„ 4.—

RELIGJA ABSOLUTNA czyli Polska filozofja religijna w nowem oświe-
tleniu, W dodatku: Moje doświadczenia religijne i metapsychiczne
Z ROZMYŚLAŃ LEKARZA.

„ 4.—

Treść: Aforyzmy; Problem życia pozagrobowego; Filozofja wszech-
świata

„ 1.50

LECZENIE SYNTETYCZNE wszelkich chorób przewlekłych mieszan-
kami ziołowemi

„ 3.—

JARSKA KUCHNIA WITAMINOWA z wstępem: Jak się odżywiać
należy?

„ 4.—

Nabywać można pod adresem

„Hejnał“, Wisła, Śląsk Cieszyński.



Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Hadyna, Wisła na Śląsku Cieszyńskim.

Drukarnia Pawła Mitreği w Cieszynie.